MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 48. WARSZAWA, 21 LISTOPADA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZEMIANY STRUKTURY GOSPODARCZEJ POLSKI

DOCHÓD społeczny Polski wyniósł w roku 1929 około 26 miljardów, z czego 23,9 miljardów skonsumowano, a nagromadzono nowego kapitału 2,1 miljardów. Z tego państwo i inne organizacje publiczno-prawne (samorządy, zakłady ubezpieczeń społecznych) zgromadziły 1,4 miljardów, to jest dwie trzecie, a z pozostałej jednej trzeciej przypada więcej niż połowa, bo 400 miljonów na zagranicę. Przedsiębiorstwa i osoby prywatne „polskie" wzbogaciły się w roku 1929 o 300 miljonów złotych. Szkoda, że jeszcze z tej pozycji nie można wydzielić kapitału, nagromadzonego przez żydów...

Tak wyglądają obliczenia M. Kalickiego i Z. Landaua, przeprowadzone pod egidą Instytutu Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen. Rok 1929 był to okres, w którym bardzo lekko zarysowywało się pogorszenie konjunktury i to dopiero w jego drugiej połowie. W latach późniejszych nastąpiło zmniejszenie dochodu społecznego i zmniejszenie dochodów państwa oraz innych organizacyj publiczno-prawnych. Dochód społeczny zmniejszał się jednak szybciej, niż dochód państwa, czyli w stosunku do dochodu społecznego wpływy państwa procentowo się powiększały.

Musimy przyznać, że powyższe cyfry wywracają do góry nogami wiele naszych poglądów. Wiedzieliśmy, że państwo jest potężnym czynnikiem w życiu gospodarczem, ale trudno było przypuszczać, by cyfrowy obraz jego przewagi nad obywatelami był aż tak jaskrawy.

Okres t. zw. dobrej konjunktury był okresem akumulowania kapitałów publicznych, nie zaś prywatnych. Dochód, zaoszczędzony w gospodarstwie prywatnem, szedł w większej części zagranicę. Z tego, co pozostało w kraju, większa część przypadła napewno w udziale nie Polakom, lecz żydom. Tak się zatem układała hierarchja siły gospodarczej: najsilniejszy czynnik państwo, potem kapitał zagraniczny, potem żydzi, potem Polacy.

Mamy tu na myśli siłę dynamiczną, a nie statyczną. Zapewne — majątek Polaków był większy od majątku żydów, czy od majątku państwa. Ale majątek żydów rósł szybciej od polskiego. Górował nad tym wzrostem przybytek majątku państwa. Dynamika rozwojowa była zatem dla społeczeństwa polskiego wybitnie niekorzystna.

Ale co sądzić o szybkim rozwoju kapitału publicznego? Czy to objaw pomyślny, czy też nie? Oczywiście lepiej, że poważną sumę 1,4 miljardów kapitału (przedewszystkiem w formie inwestycyj) nagromadziło państwo, a nie kapitał zagraniczny lub żydzi. Ale kapitał publiczny może służyć wszystkim: kapitałowi zagranicznemu, żydom, Polakom. Zależy to oczywiście od polityki gospodarczej państwa. Drogi, koleje, zakłady użyteczności publicznej, podnoszą ogólny dochód społeczny — to jest oczywiste. Nic natomiast nie można zgóry powiedzieć o tem, komu z tego dochodu przypadnie tyle, że będzie mógł powiększać zasób bogactw, a nie tylko utrzymać go w stanie nienaruszonym. Może przypaść temu lub owemu, zależy to już od polityki gospodarczej. Państwo, dysponując większym kapitałem, ma narzędzie, potrzebne do zwiększenia swej władzy, umożliwiającej wywieranie większego wpływu na podział dochodu społecznego. Narzędzie to, w dobrych rękach, może być pożyteczne, w złych rękach — szkodliwe.

Postawmy teraz teoretyczną hypotezę, że państwo dobrze zużytkowuje swoje kapitały. Czy stosunek kapitalizacji publicznej do prywatnej 1,4:0,3 należałoby wówczas utrzymywać? Sądzę, że nie. Jakkolwiek państwo winno odgrywać zawsze olbrzymią rolę w gospodarstwie polskiem, gdyż pod jego kierunkiem tylko da się w pełni urzeczywist-

nić odżydzenie Polski, nie można doprowadzać do takiego stanu rzeczy, w którym kapitalizacja publiczna przekraczałaby kilkakrotnie kapitalizację prywatną. Rola państwa polegać powinna przedewszystkiem na regulowaniu gospodarki, zaś bezpośrednie gospodarowanie przez państwo powinno być ograniczone do tych dziedzin, w których żadną miarą kapitału prywatnego żydowskiego, ewentualnie obcego, a nam wrogiego, nie da się zastąpić kapitałem prywatnym polskim.

Nietylko jako czynnik gromadzenia nowych kapitałów, ale także jako pracodawca, państwo odgrywa rolę dominującą, przynajmniej jeżeli idzie o pracę umysłową. Według obliczeń Landaua, Kalickiego i Wiśniewskiego państwo i organizacje publiczno-prawne zatrudniają jedną trzecią wszystkich pracowników, a połowę wszystkich pracowników umysłowych. Te cyfry są przerażającym wyrazem biurokratyzacji Polski. Wskazują one również na olbrzymi wpływ czynnika publicznego w życiu polskiem. Tu znów wypada stwierdzić, że dzięki (czy raczej... wskutek) decydującej roli na „rynku" pracy umysłowej, państwo dysponuje skutecznem narzędziem wywierania wpływu na społeczeństwo.

W obecnym stanie rzeczy warstwa pracowników umysłowych jest w połowie zależna od państwa (trudno u nas uważać samorządy za czynnik odrębny) bezpośrednio, warstwa robotnicza w mniej więcej piątej części. Najmniej zależny jest handel (żydzi), potem włościaństwo. Przemysł już w dużo większej mierze.

Jak widzimy, teza, wedle której najsilniejszą podstawą społeczną obecnych rządów jest t. zw. „inteligencja pracująca", znajduje swe potwierdzedzenie gospodarcze w obliczeniach Instytutu Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen (niech mi czytelnicy wybaczą ten marksowski materjalizm, ale doprawdy w momentach natury materjalnej szukać należy genezy przywiązania do „systemu" wielu jego zwolenników).

Wydatki miesięczne przeciętnej rodziny czteroosobowej pracownika umysłowego wynosiły w 1929 roku 640 zł. miesięcznie, rodziny robotniczej 265 zł., rodziny włościańskiej 175 zł. Zauważyć tu należy, że wydatki rodziny chłopskiej należałoby faktycznie zmniejszyć o około 20 procent, gdyż własne produkty gospodarstw rolnych, konsumowane przez rolników, są tu liczone według cen detalicznych miejskich (o czem niżej). Jeżeli jednak idzie o porównanie stopy życia ludności wiejskiej i miejskiej, system liczenia Kalickiego i Landaua jest słuszny.

Różnica w stopie życia nie była w roku 1929 rażąca. Od tego czasu zaszły jednak głębokie przemiany na niekorzyść rolników, gdyż ceny produktów rolniczych spadły niewątpliwie silniej, niż zarobki pracowników umysłowych. Nie będzie więc przesady w twierdzeniu, że ta warstwa, pomijając bezrobotnych, stosunkowo najmniej ucierpiała, podnosząc nawet swą zdolność nabywczą...

Przypatrzmy się teraz sumie dochodu społecznego konsumowanego. Wynosił on, wedle Landaua i Kaleckiego, 23,9 miljardów złotych w roku 1929 i rozkładał się w następujący sposób na różne warstwy:

Pracownicy umysłowi.	2,5	miljardów
Robotnicy poza rolnymi.	4,3	„
„ rolni	1,6	„
Mała własność rolna	8,7	„
Drobnomieszczaństwo.	3,5	„
Żyjący z zysku i wolne zawody. .	2,9	„

Pozatem, jako odrębną grupę dochodu konsumowanego, którą należałoby proporcjonalnie do liczebności rozdzielić na wszystkie warstwy, wymieniają Landau i Kalecki „usługi państwa w zakresie szkolnictwa", obliczono na 400 miljon. zł.

Zestawienie powyższe wymaga pewnych objaśnień. Kategorja „drobnomieszczaństwo" obejmuje rzemieślników i kupców detalistów. Kategorja osób „żyjących z zysku": ziemiaństwo, przemysłowców, kupców hurtowników i wolne zawody. Na ziemian przypada z tej grupy 0,7 miljarda dochodu.

Porównajmy teraz dochód na głowę ludności w Polsce z cyframi, dotyczącemi głównych państw europejskich. W Anglji na głowę ludności wypada 3.328 złotych[1]), w Holandji 3.320 zł., w Szwajcarji 3.129 zł., w Danji 2.430 zł., w Szwecji 2,351 zł., w Niemczech 2.288 zł., we Francji 2.120 zł., w Austrji 1.410 zł., w Czechosłowacji 1.281 zł., we Włoszech 1.260 zł., w Finlandji 949 zł., na Węgrzech 911 zł., na Łotwie 843 zł., w Rumunji 835 zł., w Jugosławji 729 zł., na Litwie 646 zł. W Polsce według jednych obliczeń 828 zł. (Landau i Kalecki), według innych 614 zł. (dr. B. Dederko). Jesteśmy więc albo najbiedniejszem, albo jednem z najbiedniejszych państw w Europie.

Przed dwoma laty dr. B. Dederko przeprowadził próby obliczenia dochodu społecznego Polski w roku gospodarczym (od sierpnia do lipca) 1928/29. Wedle tych obliczeń dochód ten wynosił, jak wspomnieliśmy, 19 miljardów złotych, t. j. 614 zł. na głowę. Różnica między obu szacunkami dochodu społecznego wynosi więc aż 7 miljardów i tłumaczy się częściowo tem, że Landau i Kalecki inaczej oceniają wartość spożycia produktów własnych przez ludność wiejską. Przyjmują oni za podstawę tego obliczenia ceny detaliczne miejskie, dr. Dederko zaś ceny, płacone rolnikom. Daje to różnicę około 2 miljardów złotych. Gdybyśmy wzięli za podstawę obliczeń ceny wiejskie, dochód ludności rolniczej (włościanie, robotnicy rolni i ziemianie) wyniósłby 9 miljardów, t. j. 37 procent dochodu społecznego w Polsce. Z tego jednak tylko 2,8 miljardów przechodzi przez rynek, a 6,2 miljardów przypada na spożycie własnych produktów. Widać stąd, jak mały jest udział wsi w gotówkowych wydatkach konsumcyjnych, wynoszących w Polsce ogółem 15,3 miljardów złotych. Gospodarka wsi jest przeszło w dwu trzecich gospodarką naturalną, gospodarka miast — pieniężną. W zjawisku tem znajdujemy wytłumaczenie dużej wrażliwości wsi na obciążanie jej zobowiązaniami pieniężnemi (podatki, lichwiarskie odsetki).

Strzeszczając nasze wywody, stwierdzić należy, że struktura gospodarcza Polski uległa głęboko sięgającym przeobrażeniom. Można je uznawać za szkodliwe lub pożądane, lecz nie można się z niemi nie liczyć. Olbrzymi udział z jednej strony państwa, z drugiej strony kapitału zagranicznego w dochodzie społecznym zaoszczędzonym, odrębny charakter gospodarczy wsi — oto czynniki, które muszą być brane pod uwagę przy ustalaniu wytycznych programu gospodarczego na przyszłość.

MARJAN SZARZYŃSKI

---

[1]) Wszystkie niemal cyfry dotyczą roku 1928. Dla Czechosłowacji r. 1927, dla Finlandji i Jugosławji r. 1926.

SŁÓWKO O ODDŁUŻENIU

UKAZAŁY SIĘ DEKRETY o oddłużeniu rolnictwa (Nr. 94 „Dziennik Ustaw"). — Najistotniejszy jest dekret o konwersji i uporządkowauiu długów rolniczych.

Na mocy tego dekretu długi rolnicze, nie mające dostatecznego zabezpieczenia hypotecznego, mają być spłacane w 28 ratach półrocznych, poczynając od 1 kwietnia 1935 r., a odsetki zostały obniżone do 3%, płatnych półrocznie zdołu. Długi rolnicze, zabezpieczone hypotecznie na nieruchomościach ziemskich, mają być w ciągu trzech lat skonwertowane na długi w $4^1/_2$% listach zastawnych, umarzalnych w okresie lat 55 i należność wierzycieli będzie spłacana temi listami *al pari*.

Można słusznie boleć nad ciężkiem położeniem właścicieli rolnych, nie należy jednak zapominać, że kryzys dotknął także przemysłowców, kupców, rzemieślników, oraz pracujących umysłowo i fizycznie. Przychodząc z pomocą rolnikom, nie należy rujnować tych wierzycieli, którzy nietylko niczem do zubożenia rolników się nie przyczynili, ale przeciwnie, przez kredyt hypoteczny od ruiny ich ratowali. Większość wierzycieli hypotecznych — to inteligencja, nie mająca zabezpieczenia emerytalnego, wdowy, nie mające prawa zapewnić sobie egzystencji i instytucje filantropijne. Ludzie ci, przez ustawę o przerachowaniu i obniżeniu rubla w złocie już stracili 83% swoich oszczędności przedwojennych, obecnie zaś otrzymają 25% tych pozostałych im 17%, listy bowiem zastawne, przy znacznej ich podaży, nie osiągną na giełdzie kursu wyższego. Nowi wierzyciele tracą też $^3/_4$ części kapitału, który uciułali, odmawiając sobie kulturalnych potrzeb, żeby tylko mieć możność istnienia w chwili zmniejszenia lub utraty zarobku.

Tracą też swoje oszczędności ludzie dobrego serca, którzy, posiadając wyroki sądowe, nie chcieli być bezwzględnymi i nieruchomości dłużników nie zlicytowali.

Prawodawca winien przychodzić z pomocą w chwilach ciężkich dłużnikom, ale lepiej jest czynić to nie z tak wielką krzywdą tych, którzy w myśl haseł głoszonych przez Państwo, urządzanych „świąt oszczędności" i t.d. pieniędzy swych nie marnowali, ale odkładali na czarną godzinę. Można i trzeba obniżać procenty, rozkładać na raty należność, ale nie należy wywłaszczać jednej klasy obywateli na korzyść drugiej.

Najsprawiedliwsze byłoby udzielić uprawnienia sądem, które cieszą się pełnem zaufaniem społeczeństwa, żeby w każdym konkretnym wypadku rozważyły wszystkie okoliczności i udzielały odpowiednio dłużnikom moratorjum, ulg, oraz spłaty ratami.

Nie można słuszności dekretu opierać wyłącznie na tem, że pieniądz istotnie ma obecnie większą wartość, aniżeli przedtem. Prawo, które podważa ważność wyroków sądowych, umów i zaufanie do hypoteki, może zniszczyć zupełnie kredyt i zniechęcić do oszczędności. Sejm winien w dekrecie tym poczynić zmiany poważne, a wierzyciele zrzeszyć się w celu obrony praw swoich, które bez żadnej winy tracą pomimo wyroków, umów i hypotek.

GUSTAW ZABŁOCKI

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: VI

POZNAŃSKIE

PONIEWAŻ rozbiory rozbiły jedność społecznej ewolucji dzielnic dawnej Polski, więc nie od rzeczy będzie, przed wyciągnięciem ostatecznych konkluzyj, — zobaczyć, jak ta ewolucja potoczyła się w tych dzielnicach, których losami niniejsze artykuły, poświęcone przedewszystkiem losom zaboru rosyjskiego, nie bardzo się zajmowały. Takie uzupełnienie będzie tembardziej wskazane, że przemiana społeczna Poznańskiego i Galicji, w zestawieniu z przemianą reszty Polski, wykazuje bardzo ciekawe odchylenia, — w pierwszej dzielnicy, idąc w kierunku jaknajbardziej pożądanym i dając w rezultacie najzdrowsze stosunki społeczne,— w drugiej wręcz przeciwnie, w kierunku zgoła niezdrowym, najniepomyślniej kształtując te stosunki.

A więc naprzód Poznańskie, choć chronologicznie należałoby zacząć od Galicji, skoro jej historja zaczyna się o 50 lat wcześniej, ale to uzupełnienie lepiej zacząć od zobrazowania tego, czem przy sprzyjających warunkach mogła się stać cała Polska. Ta kolejność uwydatni najwyraziściej wzajemny stosunek wszystkich dzielnic, skoro dominująca, a średnia stanie obok wzorowej, przez co jej braki żywiej wystąpią, — a najgorsza (czego proszę źle nie rozumieć) na końcu, dając należytą skalę porównań.

O obliczu Poznańskiego zadecydowała ciągłość i konsekwencja pruskiej polityki, stale i niezłomnie dążącej do germanizacji kraju i walka, jaką z tą zabójczą dla siebie polityką musiał toczyć żywioł polski. Walka bezustanna, bo wszelkie pozorne załamania czy ugody, jak złudzenia czasów Kościelskiego, były tylko albo zmiejszeniem oporu ze strony polskiej, by w ten sposób osłabić napór, albo chytrem podejściem ze strony pruskiej, by zmylić czujność przeciwnika. A ponieważ nic tak nie hartuje jak walka, więc ta ciężka, ale zdrowa atmosfera — wychowała społeczeństwo silne, wytrwałe i gotowe na wszystko.

Walka ta tembardziej hartowała, że toczono ją ściśle w granicach prawa, nieodstępując od pewnych założeń etycznych, nie pozwalając sobie na zupełną dowolność wyboru jej środków. Nie było w Poznańskiem wypadków jawnej samowoli władz, ani tego, żeby rząd wywoływał krwawe rebelje czy mordy i świadomie podburzał jedne warstwy na drugie, przez co przeszły Galicja i Królestwo. W zaciętej, ostrej walce było ze strony Prus jedynie naginanie prawa, jego wykrętne tłumaczenie, różne interpretacje opaczne, ale jawnie z niem zerwać nigdy się nie poważono i obywatel stale miał możność prawowania się z władzą i uciekania się

ze swej strony do różnych wybiegów, które, gdy były sprytne, pozostawały skutecznemi. Przykładem tu słynny wóz Grzymały, typowo nielojalne wyłożenie prawa, które znowu z wyraźną *arrière pensée* o Polakach było układane.

Zaletą tej walki, bo ostatecznie to zaletą się okazało, była też jej wszechstronność. Nie było dziedziny, w którejby żywioł polski nie był zagrożony. Rząd atakował wszystkich Polaków, we wszelkich przejawach ich życia, na wszystkich polach ich twórczości; godził w Kościół, w szkołę, w naukę; — narzucał bojkot gospodarczy, zamykał dostęp do urzędów, wyszukiwał wszelkich sposobów obrzydzenia im życia... Zmuszało to do silnej organizacji odpornej, do bezustannego, ciągłego wspierania się, do łączenia się wzajemnego wszystkich, bez względu na jakieś podziały klasowe, bo wszyscy byli jednako zagrożeni. Rosła więc społeczna solidarność i duch ofiarności publicznej, — tam, gdzie wiodły śmiertelny bój dwa narody, nikt nie mógł pozostać na uboczu i żyć w swoim partykularzu — taka decyzja zadrogo by go kosztowała. Na *liberum veto* w tej czy innej postaci miejsca w Poznańskiem nie było.

I jeszcze jedno przyczyniało się do pomyślnego przebiegu społecznej ewolucji tej dzielnicy— a to lojalny, nie zawahałbym się powiedzieć ojcowski niemal, stosunek do niej rządu pruskiego. Nie jest to paradoksem i nie przeczy wytężonej germanizacji, jaką ten rząd prowadził. Prawda, że traktował on po macoszemu ludność polską, ale nie traktował tak kraju. O dobrobyt Poznańskiego zabiegał tak samo, jak o dobrobyt każdej innej prowincji. W rządach niem okazywał tę dbałość i troskę, jakiej żaden inny kraj polski od swoich panów nie mógł się spodziewać. Z owoców takich rządów korzystali i Polacy, bo były rzeczy, które albo trzeba było spartaczyć i wtedy szkodziło się polskości, ale też i krajowi, albo przeprowadzić sumiennie, a wtedy znów z dobrodziejstw reformy korzystały porówno — polskość i kraj. Trzeba zaś przyznać rządowi pruskiemu, że tam, gdzie na walce z polskością mógł jawnie ucierpieć interes kraju, z tej walki rezygnowano. Najlepszym tego przykładem jest uwłaszczenie chłopów, — uwłaszczenie tak sumiennie przeprowadzone, że Poznańskie, to jedyna z dzielnic Polski, gdzie niema antagonizmu między chatą a dworem, mimo że przeciętny obszar folwarków jest duży, a przez liczne ordynacje w znacznej mierze zamknięty dla parcelacji. Staranne przeprowadzenie tej reformy należy tembardziej uwydatnić, że wszystkie inne rządy zaborcze antagonizm chłopa i dworu skwapliwie wyzyskiwały w walce z polskością i zamiast łagodzić go rozsądną reformą, wymyślnie podsycały, stwarzając na miejsce starych nowe powody do zatargów. Przecież takie serwituty, przez swoją nieokreśloność i dowolność, potrafiły tak zatruć stosunki gromady do dworu, jak tego żadna pańszczyzna by nie zrobiła.

Pod wpływem tych wszystkich czynników społeczeństwo poznańskie wytworzyło typ inny, niż społeczeństwa reszty Polski i to typ całkiem odmienny, bo „średnie" społeczeństwo Kongresówki raczej przypomina „gorsze" od siebie galicyjskie,— idealny typ poznański stoi więc tutaj na uboczu.

O wartości społeczeństwa tej dzielnicy decyduje przedewszystkiem to, że ono jedno na całym obszarze Polski posiada silny i prawdziwie narodowy stan trzeci. W ciężkich warunkach szkoły pruskiej wytworzyło się to, czego nigdy u nas nie było — miasto naprawdę polskie. Usuwana od urzędów i synekur szlachta, i chłop, któremu zaciasno było na roli, skoro parcelacja nie szła tak silnie, jak w reszcie Polski, a przepotężna konkurencja komisji kolonizacyjnej zabierała mu sporą część ziemi, która bez niej przeszłaby w jego ręce, — szli do miasta i rugowali z niego żydów. Korzyść stąd podwójna, bo uzupełniano niekompletną dotychczas strukturę społeczną narodu i wyzbywano się szkodliwego pasorzyta.

Ta zmiana strukturalna sięgała głęboko, i pojawienie się nowej warstwy tworzyło nowy stosunek sił w narodzie, a temsamem i przekształcało jego charakter. Sybarytyczny trochę indywidualizm sarmacki musiał nagiąć się do bezustannej walki, uznać konieczność organizacji i wciągnąć w potężny tryb życia zbiorowego. Ciężkie warunki codziennego bytowania, dalekie od uwielbianego spokoju, uniemożliwiały kwietyzm. Zapobiegliwość i czujna trzeźwość wchodziły coraz bardziej w cechy narodowe.

Wszystko to były rzeczy całkiem niemal nowe w Polsce; społeczeństwo poznańskie ze swoim Bazarem, z koleżeństwem wszystkich klas społecznych, z głęboko utwierdzoną samowiedzą narodową i z poczuciem wzajemnej odpowiedzialności za losy narodu — stworzyło jakby ideał, bo wszystko to, co było dobre w szlacheckiej Polsce, w tej nowej się zostało, a to, czego jej brakowało, lub na co chorowała, poprawiono i dorobiono.

Ale że Poznańskie było inne, i to nietylko inne od reszty Polski, ale poniekąd i od tej Polski, jaką nam historja przekazała, piorunowano na te zmiany i obwoływano je za duchowe zgermanienie. Zgoła niesłusznie oczywiście. Kto wie zresztą, czy ze swoją przemianą Wielkpolska nie zbliżyła się do prapolskiego typu, czy jej społeczeństwo ze swoim nieco twardym charakterem, nie miało więcej piastowskich rysów, aniżeli mniej odmienione, bardziej sarmackie innych dzielnic? Przecież ten charakter narodowy polski, jaki nam zostawiła historja, to wytwór Rzeczypospolitej szlacheckiej, państwa, łączącego w sobie polskie i niepolskie terytorja. Zwłaszcza, gdy chodzi o skłonny do swawoli indywidualizm, to on niewątpliwie jest obcym nalotem, wywodzącym się z ukrainnych stepów. A i kwietyzm sarmacki, choć bardziej rodzimy, urobił się ostatecznie w warunkach jagiellońskiego państwa, gdzie rdzenne prowincje polskie żyły cicho, zdala od wszelkich walk i niepokojów.

Tyle, jeśli chodzi o porównanie z resztą Polski. Gdyby sięgać dalej, to ewolucja społeczna Wielkopolski łudząco przypomina Czechy, gdzie te same mniej więcej warunki wytworzyły podobne nader społeczeństwo, ale jest tu ta wielka różnica, że Poznańskie bogatsze jest o cały jeden ton, bo zachowało swoje warstwy historyczne, których brak Czechom, a co za tem idzie zachowało, chociaż przetworzony, wyższy, tradycyjny styl cywilizacji. A wobec ciągłości jej rozwoju i nieprzerwanego związku z świetną przeszłością, śmieszne są poprostu wszelkie twierdzenia o jakiejś istotnej germanizacji tej prapolskiej dzielnicy.

KAROL STEFAN FRYCZ

DO DYSKUSJI

W SPRAWIE „DEUTSCHLAND UND POLEN"

Z ARTYKUŁEM prof. Alberta Brackmanna, zamieszczonym w dwutygodniku *„Geistige Arbeit"* (nr. 5 r. b.), zapoznałem się dopiero z paromiesięcznem opóźnieniem[1]). Ponieważ jednak dyskusja na poruszone tematy prawdopodobnie jeszcze przez czas dłuższy toczyć się będzie, sądzę więc, że moje uwagi nie są spóźnione. Sprawą, która poruszyła ogół historyków polskich, było ukazanie się w roku ubiegłym książki p. t. *„Deutschland und Polen"*. Jest to zbiorowe opracowanie wzajemnych stosunków polsko-niemieckich w przeszłości. W powstaniu tej książki współpracowało dziewiętnastu historyków niemieckich pod redakcją samego Brackmanna. Wkrótce po ukazaniu się tej książki pisaliśmy, że „nie pomylimy się chyba, jeżeli powiemy, że niema historyka polskiego, któryby nie doznał głębokiego zawodu po zaznajomieniu się z tem wydawnictwem. Jako całość książka powyższa nie odpowiedziała pokładanym tu i owdzie w niej nadziejom"[2]). Nadzieje te zaś wynikały stąd, że wydawnictwo to ukazało się w przeddzień międzynarodowego kongresu historyków w Warszawie (w dn. 21 — 27 sierpnia r. ub.), w którym znaczny udział wzięli historycy niemieccy i na którym panowała atmosfera nawskroś pokojowa. Przewidywania moje, jak się okazało, sprawdziły się w zupełności.

Dowodem tego są wystąpienia historyków polskich na łamach czasopism polskich i niemieckich, że zacytujemy tylko profesorów Haleckiego i Kota. Przygotowanie dalszej dyskusji jest w toku. Ze swej strony prof. Brackmann zaznacza, że historycy niemieccy odpowiedzą na krytyki ze strony polskiej i francuskiej w niemieckich czasopismach naukowych, a uczynią to w duchu przedmowy dodanej do (powyższego) dzieła zbiorowego i w duchu nowej polityki kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera i niemiecko-polskiego układu z 26 stycznia 1934 r. Uczony niemiecki oświadcza lojalnie gotowość wyrzeczenia się możliwych błędów, mianowicie w przekonaniu, że tylko czysto naukowe badanie świadectw historycznych prowadzi do właściwego celu. Inne jednak było zadanie obecnego artykułu, przeznaczonego dla szerszej publiczności. Prof. Brackmann dopatruje się w różnych wystąpieniach polskich i francuskich celów politycznych, a także świadomej tendencji umniejszania znaczenia dokonanych przez Niemców w przeszłości czynów. To skłania go do dania zapewnienia, że on i jego niemieccy koledzy nie będą tego mogli przemilczeć również i na przyszłość.

Otóż stoimy na tem samem stanowisku, że właściwa dyskusja musi się rozegrać na łamach czasopism fachowych. Oczekujemy na to z zaciekawieniem i zarazem zadowoleniem. Spodziewamy się bowiem, że na źródłach oparte argumenty uczonych polskich nie będą przez stronę przeciwną przemilczane, lecz poddane sprawiedliwej rozwadze. Obecnie dotkniemy pokrótce tylko tych spraw, które sam prof. Brackmann uznał za najbardziej aktualne. Pierwszą jest sprawa politycznych podstaw naukowych wystąpień. Otóż zasługuje na uwagę, że prof. Brackmann, poza jedynym tylko historykiem francuskim, Emilem Bourgeois, występującym w tym wypadku raczej w charakterze polityka i ograniczającym się do napisania przedmowy do dzieła innego autora, cytuje na poparcie swego twierdzenia wyłącznie tylko polskich publicystów i francuskich polityków. W wyliczeniu tem spotykamy nazwiska nieraz bardzo wybitne. Musimy jednak pamiętać, że samo podejście do poruszanych zagadnień jest inne u polityka, zarówno polskiego i francuskiego, jak również i niemieckiego, a inne u uczonego. Jeżeli prof. Brackmannowi chodzi o to, ażeby uczeni nie wyciągali ze swych badań wniosków politycznych, pozostawiając to komu innemu do zrobienia, to właśnie po stronie niemieckiej nie znajdowaliśmy dotychchas takiej wstrzemięźliwości. Wystarczy przypomnieć znaną książkę p. t. *„Der Kampf um die Wiechsel"*[3]), napisaną przez historyków i w centralnem historycznem czasopiśmie niemieckiem nad wyraz przychylnie ocenioną[4]). Zwroty do bieżącej lub dopiero co minionej aktualności są tam rzeczą zwykłą[5]). Ale od zarzutu tego nie jest wolną również *„Deutschland und Polen"*. Przypominamy najbardziej niedwuznaczne aluzje polityczne. Na str. 135 W. Recke podejmuje walkę z traktatem wersalskim i 13 punktem Wilsona. Sama wzmianka zaś o wypadkach z r. 1919 nie wynika bynajmniej z układu treści. U tegoż autora na str. 137 czytamy, że np. prawa książąt i królów polskich do Pomorza wschodniego, wynikające z darowizny Mestwina (1282) były niesłuszne. Stoi to w sprzeczności z zapowiedzią, zawartą w przedmowie, a tyczącą się unikania sądów normatywnych. Na str. 132, M. Hein nazywa pokój toruński z r. 1466 „toruńskim dyktatem", czyniąc w ten sposób aluzję dość przejrzystą do słownika politycznego z chwili

---

[1]) Artykuł ten ukazał się p. t. *„Ein Worth zur geistigen Auseinandersetzung zwischen Deutschland und Polen"*. Czasopismo *„Geistige Arbeit"*, zaopatrzone podtytułem *„Zeitung aus der wissenschaftlichen Welt"* ma za zadanie popularyzację w szerszych kołach zagadnień naukowych.

[2]) W recenzji, zamieszczonej wspólnie z dr. A. Wojtkowskim i p. Z. Wieliczką, w poznańskich „Rocznikach Historycznych" IX, z. 2, 1933, str. 280 — 304.

[3]) *„Der Kampf um die Weichsel. Untersuchungen zur Geschichte des polnischen Korridors"*. Unter Mitwirkung von W. Geisler, H. Hübner, K. J. Kaufmann, W. La Baume, M. Laubert, F. Lorentz, W. Millack, herausg. von Erich Keyser. *„Deutsche Verlagsanstalt"*, Stuttgart 1926, str. IX i 178.

[4]) *„Historische Zeitschrift"*, t. 135, str. 123 — 127. Recenzent R. Holtzmann wyraża się, że są to „badania przekonujące swą rzeczowością". Odmienność naszej opinji uzasadniliśmy w recenzji, zamieszczonej w „Przeglądzie Politycznym", VI, 3 — 4, Warszawa 1927, str. 127 — 140.

[5]) Redaktor E. Keyser już we wstępie zaznacza, że wszystkie artykuły, zebrane w książce, mają udowodnić „niesprawiedliwość traktatu wersalskiego". Najliczniejsze aluzje polityczne znajdujemy zwłaszcza w artykułach K. J. Kaufmanna, H. Hübnera i M. Lauberta (por. wspomnianą recenzję w „Przegl. Polit." VI, str. 132, 138, 139). Podobnie recenzent L. Holtzmann, jak wyżej, str. 123 („wstrząsająca lektura", „apel do sumienia ludzkości", „chwytający za serce protest przeciw wielkiej niesprawiedliwości nad Wisłą" i t. d. w podobnym stylu. Nie brak oczywiście wzmianki o „dyktacie wersalskim"). Zapytujemy, czy to jest styl historyka, czy polityka lub publicysty?

obecnej. Tenże autor na str. 129 porównuje przyjęcie reformacji przez Mazurów i Litwinów wschodnio-pruskich w w. XVI z głosowaniem plebiscytowem z r. 1920. Tak samo W. Vogel na str. III, 112 i 122 nietylko polemizuje z oświadczeniem politycznem ministra E. Kwiatkowskiego, ale również wyraża obawy co do przyszłych losów portu gdyńskiego, choć to nie należy do traktowanego przez niego przedmiotu.

Drugi zarzut prof. Brackmanna dotyczy świadomego umniejszania roli historycznej Niemców. Jesteśmy zdania, że zarzut ten należałoby odwrócić. Główną bodaj cechą książki *„Deutschland und Polen"* jest umniejszanie roli historycznej Polski. Czy jest to umniejszanie świadome? Przypuszczamy, że tak, jakkolwiek stanowcza decyzja w tej sprawie nie jest rzeczą łatwą. Widzimy to przedewszystkiem w artykule samego prof. Brackmanna. Samodzielnej roli historycznej Słowian, a w szczególności Polaków, autor wogóle nie dostrzega. Wszystko, co słowiańskie, jest tylko bierną przestrzenią, położoną między Niemcami na zachodzie a Rusią, zorganizowaną przez germańskich również Skandynawów na wschodzie. Aż zadziwić się można, że pomimo tej bierności Słowianie przecież jeszcze dzisiaj istnieją i to we wcale nawet znacznej liczbie. O tem, że Słowianie potrafili asymilować obce wpływy kulturalne i obce napływy etniczne autor zdaje się nie wiedzieć zupełnie. Ten sam grzech pierworodny ciąży również na pozostałych w przybliżeniu 18 artykułach tej samej książki. Nie jest od niego wolny nawet tak objektywny naogół artykuł H. F. Schmidta o prawie niemieckiem w Polsce. W tym wypadku niedocenianie roli historycznej Polski dotyczy przedewszystkiem jej roli na wschodzie. To samo zresztą można powiedzieć o artykule Aubin'a i innych. Trochę dowodów na to podaliśmy już poprzednio[6]). Jesteśmy też głęboko przekonani, że znaczenie kulturalnych, a w pewnych okresach nawet etnicznych, wpływów niemieckich, jest w nauce polskiej całkowicie doceniane i sam prof. Brackmann przekonałby się o tem, gdyby literatura historyczna polska była mu bardziej dostępną. Ale trzeba rozróżnić zapożyczenia (któż ich nie miał!) które zdolni byliśmy sobie przyswoić, od rezygnacji z własnej indywidualności historycznej. Lepszego zrozumienia tego zasadniczego faktu należałoby oczekiwać od historyków niemieckich.

Poznań KAZIMIERZ TYMIENIECKI

---

[6]) Rec. w „Roczn. Histor." IX, str. 280 i nast.

RAPSODJE SŁOWACKIEGO O BOLESŁAWIE CHROBRYM

Prof. J. G. Pawlikowskiemu z czcią przypisuję

PISAŁ Maurycy Mochnacki w swem pamiętnem dziele „O literaturze polskiej w XIX wieku": „Pojrzeliśmy za siebie na wiek upłyniony i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugiem, nie było zgody w literaturze między przeszłością daleką, poetycką, rycerską podbijającej Polski, a tym wiekiem Stanisława Augusta, kiedy się już rzeczy znacznie miały do upadku: jedno z drugiem nie rymowało. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwalono... zniknęła stara Polska... Rozstroił się, ba, nawet roztrzaskał na kawałki stary, dźwięczny bardon, ów, którym niegdyś chwalono Boga w kościele i walecznych w boju... Zaszły także rdzą dawne pamiątki, a tymczasem nić kłębka dziejów, ledwie do połowy wyciągnięta, co chwila to zrywała się, to gmatwała, wreszcie i wątku nie stało... Dopiero przetarłszy oczy, w sam czas jeszcze przyszliśmy do siebie".

Podkreślał dalej Mochnacki zasługę „młodych pisarzy", co „podchwycili gęśl minionych wieków" — i wskazywał tematy, które od wieków nadawały się do wielkiej i rodzimej pieśni: „Mieliśmy poetyckie czasy, czasy olbrzymiej mocy, mieliśmy rzeczywistą poezję w życiu". Taką epoką, która się do poezji szczególnie nadaje, jest „wiek Bolesława Wielkiego". Postać tego króla budzi zachwyt Mochnackiego — to też poświęcił jej parę kart, naprawdę natchnionych, jak poemat. Idąc tam torem Lelewela, opisuje dworzec Bolesława, jego rycerstwo, jego czyny, jego politykę, — tak konkludując: „Rysy, właściwość charakteru, wiek, ludzie, okoliczności, wszystko to stawia tego króla jakby w świetle romantycznej wieści, której najbujniejsze zmyślenie nicby nie przydało godniejszego pamięci i zadziwienia. Nawet wiara ludu osnuła go mgłą poetycką. Szczerbiec miał mu się dostać z rąk anioła. Wieść się także daleko rozniosła, jakoby na znak zwycięstwa nad Rusinami miał powrzucać do Dniepru misterną robotą udziałane trąby, przez które sącząca się woda dźwięk dziwny w powietrze wydawała"...

Na część drugą tych wywodów niewcześnie reagował Słowacki, na pierwszą zaś dał następującą odpowiedź:

> „Szukajmy więc różnemi drogami treściwej drogi żywotnej naszego kraju; szczęśliwy, kto w ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije! Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów. Dziś poeci są minstrelami narodów... Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnej epoki, to kiedyś o tem będą rozpowiadać ze łzami wnuki nasze i płynącego teraz czasu nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, ale wiekiem nieszczęścia narodu".
> (Przedmowa do III tomu „Poezyj", 1833).

Nie dbał zatem o „szatę narodowych wypadków" autor „Lambra" i „Marji Stuart", nie wahał się brać tematu z dziejów lub życia narodów obcych. A nawet i wtedy, gdy sięgał do historji ojczystej, nie postało mu nawet w głowie, by w myśl wskazówki Mochnackiego cofać się aż w zamierzchłe czasy Chrobrego. Dlatego też nagły zwrot ku pradziejom Polski był niespodzianką dla tych, którzy znali poetę. Zdawał sobie z tego sprawę sam Słowacki, gdy donosząc przyjacielowi

o swym planie kronik dramatycznych, pisał w dedykacji do „Balladyny": „Uśmiechnij się teraz, Irydjonie"...

Z uśmiechu arjostycznego poczęła się „Balladyna", która miała „tysiącem anachronizmów przerazić śpiących w grobie historyków i kronikarzy". Nietylko zresztą „śpiących w grobie", skoro przecie cały epilog „Balladyny" jest natrząsaniem się z żyjącego jeszcze wówczas historyka — Lelewela. Nie żywił Słowacki czci i sympatji dla tego badacza, którego tak sławili Mochnacki i Mickiewicz. To też może za podświadomy albo i zgoła celowy atak w jego stronę uważać należy ową przecudną legendę o koronie polskiej, opowiedzianą Kirkorowi przez pustelnika. Nie papież daje tę koronę, ani cesarz i nie Bolesław jest pierwszym koronowanym królem polskim; rola ta przypada Lechowi, ofiarodawcą zaś jest „król Scyta". Przyznać należy wszakże, że w samym akcie donacji jest pewne podobieństwo do tradycji, przechowanej w kronikach; ów „Scyta" odbywa, jak Otto III, pielgrzymkę nabożną, prawda, że nie do grobu św. Wojciecha, lecz do miejscowości o wiele świętszej — do żłóbka Chrystusowego; podobnie też daje mu koronę własną, „pokochawszy mocniej sercem" władcę polskiego za jego hojność i gościnność.

Słowacki mówi o tej koronie, że ona ukryta „pod spróchniałe karcze lasu wkopana". W motywie tym brzmi nuta naówczas aktualna. W czasie między powstaniem kościuszkowskiem a trzecim rozbiorem Polski zaginęły, jak wiadomo, insygnja królewskie ze skarbca wawelskiego. Co się z niemi stało, różnie mówiono, wiele było na ten temat sporów i domysłów. „Ale to długa powieść" — moglibyśmy powtórzyć za Słowackim. Dość, że szerzyła się wówczas w narodzie, wspominana później przez Lelewela, „wieść głucha, iż patrjotyczne ręce w chwili kradzieży skarbca zdołały unieść jedną tylko koronę Bolesława, jako szanowne *palladium* Polski i złożyły ją w miejsce bezpieczne, pod straż ludzi wiernych swej ojczyźnie" („Lotniki piśmiennictwa", r. VI, str. 1 — 4). Słowacki tę wieść zasłyszał i opracował po swojemu. Zaznaczę, że związanie początków Polski z narodzeniem Chrystusa nie było wymysłem Słowackiego, owszem tradycją, datującą się conajmniej od Bartosza Paprockiego, który utrzymywał, że „jednym z królów, co do Betleem przybyli hołdy złożyć Panu w stajence, był król słowiański". Motyw podobny wprowadził do swego rapsodu o Chrobrym i komentarzem opatrzył Lenartowicz („Rytmy ze starych zbroic", 1881), powołując się na wspomniane źródło i na Bielowskiego.

„Arjostyczny uśmiech" zamierzonych „kronik dramatycznych" nie trwał długo. W „Lilli Wenedzie" zamienił się w nagły skurcz bólu, zaś rozprysł się w niedokończonym „Kraku". A kiedy już Słowacki powrócił do wątku „kronik" poetyckich, nastrój tychże i forma były zgoła różne: „W i e r s z a s i ę n a w e t d a w n e g o s t r u k t u r ą o d z i a ł e m, P a n u m e m u p r z e z p o k o r ę". Ciągiem dalszym „Lilli Wenedy" była gigantyczna epopeja — „Król-Duch".

Dawniejsi historycy literatury (np. Tarnowski) za złe mieli Słowackiemu, iż nie liczył się z istotną prawdą dziejową, że jakoby kapryśnie, samowolnie, na wyrywki niejako, wybierał postaci władców polskich, które godnością króló-duchową obdarzał. Dziś, dzięki dokładniejszej znajomości tekstu „Króla-Ducha" i głębszemu wniknięciu w jego treść i założenie, zapatrywanie takie łatwo obalić, ba, nietrudno stwierdzić, że poza jedną „Genesis z ducha", w całej twórczości Słowackiego bodaj niema dzieła, któreby było spoiściej konstruowane, bardziej konsekwentne, głębiej przemyślane do najdrobniejszego szczegółu, że zatem nie kaprys był przyczyną, iż pewne tylko (i to właśnie te, które należało) postacie wysunął poeta na plan pierwszy, na królewsko-duchowe stanowisko. Arcycenne komentarze, jakie dał w swem wydaniu „Króla-Ducha" prof. J. G. Pawlikowski, dają w zupełności podstawę takiemu sądowi.

Poeta zdołał wykonać trzy tylko rapsody zamierzonego poematu (tradycyjną dziś liczbę pięciu rapsodów wprowadził mylnie Małecki), których naczelnymi bohaterami są trzy wcielenia „Króla-Ducha": Popiel, Mieczysław I i Bolesław Śmiały. Te trzy postaci uważał Słowacki — nie bez słuszności — za epokowe dziejów Polski, objętych treścią poematu, — za twórców nowej ery, dawców nowej myśli i nowego ducha. Dokładniejsze rozważanie tej sprawy nie należy do naszego tematu; w pracy niniejszej zastanowić się wypada tylko nad jedną kwestją: czemu na stanowisko przodujące, epokowe, nie został wysunięty władca tak potężny, tak szczęśliwy w bojach, tak imponujący ogromem swych politycznych zamierzeń i zdobyczy, jakim był pierwszy król polski, twórca mocarstwowej Polski, Bolesław Chrobry.

Nad kwestją tą zastanawiał się Kleiner („Nieznany rapsod „Króla-Ducha", pieśń o Bolesławie Chrobrym", „Tyg. Ill." 1919, nr. 2): „Wśród owych duchów wielkich, których dzieje i „walki święte" opiewa „Król-Duch", potężna postać Chrobrego zdaje się w cień usunięta, przelotnie tylko ukazana w perspektywie dalekiej, ledwie wspomniana w historji innych władców Polski... Można było sądzić, że przed tą postacią mocarza cofnęła się fantazja Słowackiego, że nadmierna wyrazistość rysów i faktów, utrwalonych przez dzieje, zahamowała jej lot swobodny"...

Przypuszczenia takie (a raczej domysły) nazywa Kleiner „napozór uzasadnionemi", zaraz potem jednak obala je na podstawie fragmentu „Króla-Ducha", znajdującego się w Bibljotece Krasińskich, — fragmentu, któremu nadaje nazwę „rapsodu, czy może tylko pieśni o Bolesławie Chrobrym". Na podstawie tego fragmentu staje się rzeczą jasną, że Słowacki bynajmniej przed postacią Chrobrego się nie „cofnął", że owa „nadmierna wyrazistość rysów i faktów" nie hamowała „swobodnego lotu" fantazji poetyckiej — owszem, pobudziła tę fantazję do „dantejskich obrazów... męczeństwa i twardej walki". Treścią bowiem tej pieśni jest „starcie duchów potężnych"... „Strofy autografu Biblj. Krasińskich określają wyraźnie koncepcję potężnego bohatera"... „Słowacki... tragiczną postacią uczynić zamierzał nawiększego z Piastów".

Było więc Słowackiego stać na stworzenie rapsodu o Chrobrym, co więcej, postać ta pociągała wielce poetę — będziemy o tem zresztą mówili poniżej. Pomimo wszystko, nigdzie, nawet w owej „pieśni", czy „rapsodzie", Słowacki nie zamierzał z Chrobrego zrobić k r ó l a - d u c h a. Popiel, Mieczysław I, Bolesław Śmiały, właściwe „króle-duchy" — czyli wcielenia ducha samego poety — opowiadają o swoich w ł a s n y c h prze-

życiach, prowadzą pamiętnik niejako, gdzie wciąż „ja" się powtarza; natomiast o Bolesławie Chrobrym, jak przedtem o Ziemowicie, mówi Słowacki zawsze w osobie trzeciej. Nawet w najmniejszym z zachowanych urywków „Króla-Ducha" nie włożył Słowacki w usta Chrobrego żadnej opowieści; opowiada o nim albo „śpiewak" od siebie, albo Mieczysław I, albo Bolesław Śmiały. Czyny „najpotężniejszego z Piastów" rzadko oglądamy z akcji bezpośredniej (rapsod IV, gdzie mowa o jego narodzinach), częściej zaś patrzymy na nie z oddali zaświatów pozawcieleniowych, albo też przez mgłę tradycji, powieści gminnej (rapsod V).

Pisze Kleiner, iż „niepodobna rozstrzygnąć, czy Słowacki miał zamiar stworzyć odrębny rapsod o Chrobrym, czy też odrazu myślał o tem, by potężnemu synowi Mieczysława poświęcić tylko pieśń wstępną w rapsodzie o pokrewnym mu duchowo Bolesławie Śmiałym?" Ja osobiście przechylam się do drugiego przypuszczenia, jednakże wobec braku pewniejszych podstaw istotnie wolę sprawę pozostawić nierostrzygniętą. Wszakoż, nawet gdyby przypuścić, że Słowacki zamierzał dzieje Chrobrego zamknąć w osobnym rapsodzie, tedy byłby ten rapsod od wszystkich innych różny, poprostu fragmentaryczny. Rapsod o Popielu, także rapsod o Mieczysławie zawierał w sobie całe życie tytułowego bohatera, od kolebki aż do śmierci; to samo możnaby powiedzieć o rapsodzie „Bolesław Śmiały", gdyby został ukończony. Natomiast przypuszczalny rapsod o Chrobrym musiałby siłą faktu pozostawić „kadłubowym", skoro to, coby winno tworzyć jego początek — t. j. narodziny i dzieciństwo Bolesława — zostało już opowiedziane przez Mieczysława w rapsodzie IV-ym; musiałby nie wyczerpywać faków z życia bohatera rapsodu, skoro wchodzą one w takiej obfitości w zakres tradycji, żyjącej w marzeniach Śmiałego — wątpliwą zaś jest rzeczą, by miały się po homerycku powtarzać.

Faktem jest bowiem to, co mówi Kleiner, że treść owej pieśni czy rapsodu o Chrobrym zarysowuje się wyraźnie dopiero „na postawie związku z motywami innych rapsodów". Co więcej, jest ona tylko jakby pomostem pomiędzy dwoma rapsodami — IV-tym i V-tym — których partje, *disiecta membra*, łącznie ze wspomnianym rapsodom czy pieśnią, składają się dopiero na „żywot królewski" Bolesława Chrobrego.

Poznajmyż ów „żywot" w kolejnym jego przebiegu na przestrzeni obu (czy może i wszystkich trzech?) rapsodów. Pierwszym momentem tego żywota jest samo jego poczęcie; zaznaczył je poeta w prześlicznej rozmowie Mieczysława z Dąbrówką, przesyconej proroczemi wizjami mistycznemi. Przypomnijmy sobie, że zdawna w literaturze naszej, jeszcze od kroniki wielkopolskiej, istniały legendy, mówiące o śnie proroczym, który jakoby miał Mieczysław I przed przyjściem Bolesława na świat. W śnie tym była mowa o posłannictwie Bożem Bolesława, który ma ziścić zbożne i dalekosiężne pragnienia swego ojca. A oto jak o tych pragnieniach i o posłannictwie mówi Mieczysław u Słowackiego:

„Z naszych ciał obu, jak z dwóch klatek ciasnych,
leciały białe ducha gołębice
i gdzieś w błękitność podniesione wieczną,
stały na skrzydłach — pod trzecią — słoneczną.
I rzekłem do niej [Dąbrówki]: „Pan Bóg nas wysłucha
i miejsce nasze zastąpi wspaniale.
Oto zaprośmy w dom wielkiego ducha, —
ty w róż go malin — a ja w krwi korale
święte ubiorę; spełni się otucha
duchów świętością zlanych doskonale
w trójcę tworzącą, która ciało ciśnie
i dzieli, aż się w jedną skrę — trzy błyśnie".
(„Kr.-Duch", wyd. Pawl., Rp. IV, t. gł. pieśń III, rozd. XVI s. 134).

Czemże jest więc Chrobry — ten, który ma się urodzić? Nie nowym królem-duchem, nie twórcą nowej siły duchowej, nowej myśli dziejowej; ma być tylko spełnieniem się myśli poczętej przez twórcę — Mieczysława, wykonawcą jego zamierzeń. Ojciec i syn tu się dopełniają, tworzą dwie osoby trójcy, której trzecią osobą jest gołębica — duch niewieści. Dobrawna, apostołka i chrzcicielka Polski. Idea trójcy [1]) jawi stę tutaj po raz pierwszy w „Królu-Duchu"; pierwszy raz — albowiem dopiero przez Dąbrówkę, razem z wiarą chrześcijańską, przychodzi na Polskę prawdziwe objawienie tej arcytajemnicy oraz łączącego się z nią łańcucha tajemnic genezyjskich (sen Mieczysława, Rp. IV, p. III zwr. VIII — XI).

Myśl, że bez inicjatywy, inspiracji i podniety ze strony Mieczysława niczem lub czemś nieznacznem byłyby umiłowania Chrobrego — że zatem Mieczysław, nie Bolesław, jest właściwym twórcą mocarstwo polskiego — spotykamy kiełkującą nieśmiało już w pismach dawniejszych polskich pisarzy; spotkamy się z nią jeszcze nieraz — aż do „Wiatru od morza" Żeromskiego. Tę przodującą rolę Mieczysława zaznaczył Słowacki i w „Rozmowie z matką Makryną", gdzie podobnie jak w „Królu-Duchu" przypisuje mu niejako rolę Dawida, twórcy potęgi i znaczenia królestwa izraelskiego:

„z Mieczysława Chrobry,
a z Mieczysławskiej głaz w Dawida procy".

A oto jak opowiada Mieczysław o narodzeniu syna:

„I Pan wysłuchał... I w małej dziecinie
przyszedł ktoś wielki — lecz w wielkiej zasłonie.
Tej nie odejmę, aż świat się rozwinie
i zacznie jasno czytać w ciała łonie
i w alabastrach ciał, i w serc rubinie..."

„Ktoś wielki" — to oczywiście Bolesław Chrobry, któremu współcześni i parę wieków potomnych (Gallus) nadawało tytuł „Wielkiego". Ale co oznacza ta „zasłona", której z dziecięcia odjąć nie można — aż dopiero po wiekach, w przyszłych stadjach descendencji genezyjskiej? Pawlikowski tak to tłumaczy: „z przyjęcia zasady matempsychozy wynika, że znajomość ludzi polega właściwie na znajomości ich metempsychicznego dowodu; na pytanie „kto jest ten człowiek?" odpowiada się wskazaniem na ten rodowód. Stąd to pytanie, kim był duch dziecka (Bolesława Chrobrego), które przyszło w domu Mieczysława. Poeta odpowiada, że był to ktoś wielki, ale zasłony z niego podnieść nie może. Dla dzisiejszego świata przedwczesną jest ta tajemnica; będzie ją mógł poznać świat przyszły, który nauczy się rozpoznawać treść duchową pod maską ciała"... Ale jakiż to „świat przyszły", ten świat, który się rozwinie i zacznie jasno czytać „w ciała łonie... i w serc rubinie"?— Mojem zdaniem odpowiedzi należy szukać w rapsodzie „Bolesław Smiały"; tam jest „rozwinięcie" świata o jeden szczebel wyższy. Śmiałemu nieraz się jawi duch Chrobrego i marzą się jego czyny — on „czyta jasno" w myśli i zamiarach swe-

[1]) Co do trójcy — komentarz u Pawlikowskiego „Kr.-D." t. II, str. 204.

go „dziada" (jak wbrew historji nazywa pradziada swego). Bolesław Śmiały — nie Chrobry — jest następnem wcieleniem „Króla-Ducha". Chrobry był tylko jego zapowiedzią. Do tego właśnie stosują się wiersze fragmentu:

„Któż wie, że ojciec musi aż przez wnuka
być powtórzony, a jest przez dziewczyny,
a synów swoich ustępuje ciało
duchom, o których matce w głowie dniało".

O takich duchach, które ciało otrzymały z jej syna, „dniało w głowie" Dobrawny w widzeniu, o którem opowiadała umierającemu Mieczysławowi. Widzenie to dotyczyło przyszłych pokoleń. Jeszcze nie czas był na jego rozjaśnienie. Postać Bolesława Śmiałego wiąże się z osobą „dziada" nietylko czynami, ale i imieniem. Wiemy, że Słowacki wogóle w imionach dopatrywał się zawsze znaczenia symbolicznego. Nie było bez takiego znaczenia i imię Bolesława. Naprzekór Naruszewiczowi, który określił imię to jako „wielość sławy oznaczające" (od bole, boleje, rus. *bolsze* — wiele, więcej), wywodzi je Słowacki — w myśl etymologji ludowej — od „bólu" i „sławy". Oto co słyszymy o chrzcinach syna Mieczysławowego:

„kiedy go chrzczono,
gdy zapytano mej królewskiej woli,
jakie mu imię nadam wraz z koroną, —
ja w smutku rzekłem: „Ach, sława mnie boli!" —
pomnąc na sławę oręża straconą...
I ksiądz rzekł: „Niechże królewskiem cierpieniem
będzie ochrzczony ten duch nieśmiertelny,
i niech mu sławy ból będzie imieniem
a tą boleścią niechaj będzie dzielny!"

„Chrystus dał miano" tej dziecinie, — Chrystus, który Mieczysławowi, podczas grania żony na organach, jawi się wraz z wizją „dwunastu ludów" i przemawia:

„Masz syna — czas jest srogi — nakup mieczy,
zostań, aż przyjdę"...

Widzenie przerwane zostało krzykiem syna „w kołyseczce"; na ten krzyk „żona przestała grać — i Chrystus zniknął".

Analogiczne jest przerwanie wizji Dąbrówki, opowiedzianej przez nią dogorywającemu już mężowi:

„Wtem niańka, która dziecko moje huśta,
krzyknęła: „Jezus!" a ja nad kołyską
widziałam, jako Boża stoi chwała..."

Wizje te w proroczem olśnieniu otwierają na chwilę wzrok oślepłego powtórnie króla, który „ledwo ma czasu raz spojrzeć na dziecię":

„Przyprowadź mi tu wszystkie moje pany,
na ręku moje przynieś mi pacholę!"

(rozkazuje Mieczysław):

„a ona
przyprowadziła wszystkie stare pany,
sama stanęła z dzieckiem rozkwilona,
a jam się modlił srodze sturbowany,
nie chcąc, aby mi zadrżały ramiona
ani w spojrzeniu wzrok był obłąkany...
Dzieciątko moje nie na rękach, ale
przy jednej tarczy... z głową na bok zgiętą,
zmarszczone, dumne jak orlik na skale,
gdzie ma z ptaszeczków małych swoje święto,
patrzał mi w oczy — te straszne opale,
które dwa razy na ziemi zamknięte
rękami duchów z Bożego rozkazu,
choć nie zgrzeszyłem wzrokiem ani razu.
Teraz w tych oczach chciwość jakaś wzroku
i łza królewska świeciła dla syna".

(D. c. n.) JÓZEF BIRKENMAJER

BALLADA O PIERWSZEJ ŻONIE

Młoda matka poszła na tańce,
Sen bezpieczny syneczka niańczy:
„Śpij, kochanie! Mama wróci za kilka godzin!"
Kiedy zcichną koła pojazdu,
Z najzłocistszej, najdalszej gwiazdy
Pierwsza żona widomie schodzi.

Rzęsy długie leżą półkolem,
Stoi chwilę, kreśli na stole;
Nie widać oczu... Twarz cała jeszcze zakrzepła.
W kolebce coś jak trzepot motyla:
Już się cała nad dzieckiem pochyla,
Miłosierna, pomocna, ciepła.

Wargi sztywne szeptem wytęża:
„O maleńki... Synku mego męża,
Taki do niego podobny w śnie bezpiecznym,
Nie płacz, lekko i różowo okryty,
Mama wróci jeszcze przed świtem,
Gdy odejdę na szlaki mleczne.

Śpij, syneczku mej jedynej miłości!
Kołysanka moja, nie ze krwi i z kości,
Lecz ze światła, dźwięku, gwiazd obrotu, chwiania skrzydeł.
Na mem ręku wszystkich nieb obrazem
Nasycisz się bez wysiłku, ile razy
Do ciebie przyjdę".

Młoda matka pląsa roztańczona...
Stoi u kołyski pierwsza żona
Nim do gwiazd, do skrzydeł, do melodji światów rozkaz
[wcieli ją napowrót.
Dziecko zrana patrzy trochę dziko:
Ma w niebieskich oczach gwiazd muzykę,
Chwianie tęcz puszystych i ogromnych nagich światów
[obrót.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Georges Bernanos. — Problemat świętości. — O procesie św. Joanny. — Przed laty pięciuset i dziś. — Czytajmy „Żywoty Świętych".

GEORGES BERNANOS — to, jak mi się wydaje, jeden z bardzo dzisiaj nielicznych, naprawdę wielkich pośród żyjących pisarzy europejskich. Jest w jego prozie to, co stanowi bodaj istotę sztuki, jakiś sekret niezwykły, który sprawia, że wyrazy i zdania, w danym rytmie, w danem zestawieniu, znaczą to, co w potocznej mowie, i jeszcze coś więcej, odsłaniają nowe, niedostępne dziedziny, świat normalnie zakryty przed ludzkiem okiem, a jedynie na mgnienie, jak w świetle błyskawicy, ukazujący nieoczekiwane swoje zarysy, objawione poetyckiemu wzruszeniu.

Tajemnicą, która przedewszystkiem zajmuje umysł i wyobraźnię Bernanos'a, która go niepokoi i pociąga, jest zagadnienie świętości. Jemu poświęcił swoje głośne, a jedyne chyba przełożone na polski dzieło: „*Sous le soleil de Satan*", taż sama zagadka jest też przedmiotem nowej, niewielkiej książeczki, rozważań nad procesem i śmiercią Joanny d'Arc, p. t. „*Jeanne relapse et sainte*"[1]).

Postać duchową świętych zwykliśmy imaginować sobie podobnie, jak artyści bizantyńscy i wczesno-renesansowi wyobrażali ich postać fizyczną, mianowicie w kształcie jakichś wielkoludów, o wymiarze kilkakrotnie przewyższającym otaczających ich, pospolitych śmiertelników. W takim świętym, olbrzymie duchowym, w jego wszechstronnej doskonałości, trudno oddzielić ludzką wielkość szczytów heroicznego człowieczeństwa, od pierwiastka, który jest już skądś indąd, z odmiennego porządku zjawisk. W przedstawieniu Bernanos'a, człowiek święty niczem zupełnie nie jest różny od ludzi pozostałych, oprócz tylko jedynej cechy—świętości. Tutaj dopiero, przy takiem przejmującem „*caeteris paribus*", stajemy oko w oko z Tajemnicą, tu dopiero zaczynamy zlekka przeczuwać nie dający się ogarnąć ogrom przedziału...

Święta Joanna „kochała konie, uroczystości, defilady, noce na biwaku pod niebem gwiaździstem... furkot setek proporców... Kochała to, co kochają żołnierze, na sposób żołnierzy, którzy się nie przywiązują do niczego, gotowi każdego dnia z wszystkiem się rozstać... Cóż jej teraz będzie kto wymawiać, że rzucała pieniądze za okno!"... „*Item*" — brzmiały słowa oskarżycielskie w procesie — „stroiłaś się w ubiory kosztowne, w drogie materje i futra. Wdziewałaś na się płaszcze długie i suknie bogate. A jest rzeczą dowiedzioną, że kiedy cię pojmano w niewolę, nosiłaś pod swą misiurką żelazną cenne złotogłowie"...

Ale nietylko owe ludzkie, dziecięce nawet cechy Joanny uwydatniają całą tajemniczość świętości, unaocznia ją jeszcze wyraźniej, ludzki podobnież, nie demoniczny zgoła, charakter jej oskarżycieli i sędziów. Bernanos z naciskiem udowodnia, jak skrupulatnie trzymano się obowiązującej procedury, jak dokładnie, drobiazgowo poprostu, przeprowadzano wszystkie, długie badania. Przypomina, jak dostojne były osoby sądzących, do końca życia otoczone powszechnem poważaniem, jak prawomocne posiadały pełnomocnictwa do rozpatrzenia sprawy i wydania wyroku. Ukazuje, jak ci uczeni teologowie i prałaci żebrali niemal u dziewczyny wiejskiej o słówko skruchy, by ocaliła „swoją duszę i swoje ciało", by nie przeczyła zdaniom przedstawicieli Kościoła, nie buntowała się przeciwko mądrości ich polityki...

Bo tu właśnie znajdowało się sedno rzeczy. „Polityka"—pisze Bernanos — „panuje nad myślą tych poważnych głów scholastycznych, lecz nie bynajmniej, jakby można było mniemać, ze względu wyłącznie na bieg spraw doczesnych. Nacjonalizm odradzający się, starożytny przesąd miłości ojczyzny, którym posługiwać się zaczynają współzawodniczący między sobą książęta, wydaje im się nieskończenie bardziej niebezpieczny, niż jakakolwiek z owych kłótni feodalnych, które zawsze potrafili wkońcu opanować. Władcy świata niewidzialnego, który przekracza i ogarnia ze wszech stron świat widzialny, prawodawcy najwyżsi, jedyni posiadacze wszelkiej wiedzy, porozumiewający się wzajemnie tym samym, powszechnym językiem, jedyna arystokracja, nie zawdzięczająca niczego dziedziczności, jakgdyby wyzwolona z więzów cielesnych ku osłupieniu i zachwytowi baronów o mocnych lędźwiach, czują się dostatecznie potężni na to, ażeby czynić te i owe ustępstwa władzom świeckim, lecz lękają się narażenia swojej powagi, kiedy w grę wejdzie sprawa sumienia narodowego"...— — —

Ale: „Nasz Kościół jest kościołem świętych... I oto, w niecałe pięćset lat później, wizerunek oskarżonej o czary był wystawiony u Świętego Piotra w Rzymie — prawda, wymalowanej w stroju żołnierskim, nie w płaszczu i sukni bogatej! — zaś o sto stóp poniżej mogła Joanna widzieć postać maleńką, człowieczka w bieli, leżącego krzyżem, a był to papież we własnej swojej osobie".

*

„Świętość jest przygodą" — pisze Bernanos— „jest nawet jedyną przygodą", naprawdę osobliwą. Gdzież w świecie całym, poza Kościołem Katolickim, „możnaby wyobrazić sobie tylko taką przygodę, i taką ludzką zarazem, małej bohaterki, która przechodzi pewnego dnia spokojnie ze stosu inkwizycyjnego do Raju, przed nosem stu pięćdziesięciu teologów"?

Wyobraźnia, ciekawość człowieka dzisiejszego coraz silniejszy czuje głód rzeczy niecodziennych, i niezwyklejszych, aniżeli „sensacje" kryminalne prasy brukowej, tak jednostajne, do znudzenia powtarzające się w schemacie swojej treści, niezwyklejszych, niż karjery amerykańskich miljonerów, którzy „z chłopców, sprzedających gazety", stali się właścicielami domów bankowych, lub „ze śpiewaka w drugorzędnej kawiarni podmiejskiej" awansowali do bajecznych kontraktów filmowych w Hollywood. Chcielibyśmy dowiadywać się o ciekawszych, różnostronniejszych przeżyciach, większych triumfach, tragiczniejszych, głębiej sięgających konfliktach...

Zdaje się, trzeba będzie wrócić do czytania „żywotów świętych".

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Georges Bernanos: „*Jeanne, relapse et sainte*" („Joanna, heretyczka i święta"), Paris, Librairie Plon, 1934.

GŁOSY

ŻYJEMY OBECNIE POD ZNAKIEM PROCESÓW POLITYCZNYCH. Jeszcze nigdy nie mieliśmy ich tylu w tak krótkim okresie czasu, jak między 24 października a 2 listopada.

I tak: 24 października w Węgrowie odbyła się sprawa Czumaja, chłopa, b. członka O. N. R. o szerzeniu niepokojących wiadomości.

26 października odbyła się w Otwocku rozprawa przeciwko 17 b. członkom O. N. R. o opór i zniewagę władzy podczas zbiorowej wycieczki do Międzylesia. 4 oskarżonych nie stawiło się, 2 uniewinniono, jedną oskarżoną skazano na rok aresztu, jednego oskarżonego na 10 miesięcy aresztu, 9 na 6 miesięcy aresztu lub więzienia. Tegoż dnia w Częstochowie odbyło się 18 spraw członków Stronnictwa Narodowego, w tem 15 odwołań od sądów starościńskich o zorganizowanie nielegalnych zebrań, 3 o zajścia antyżydowskie w Częstochowie i okolicy.

28 października w Starogardzie odbył się proces kilkunastu członków Sekcji Młodych Str. Nar. z Rajkowów o opór władzy, groźby bezprawne i zbiegowisko przestępne. 2 oskarżonych skazano na $2^1/_2$ lat więzienia, 1 na 2 lata, 2 na półtora roku, kilku na rok więzienia.

Tegoż dnia w Warszawie zapadł wyrok w sprawie 7 b. członków O.N.R. o udział w związku tajnym i rozpowszechnianiu nielegalnego pisma (sprawa jednej z oskarżonych, zakończona wyrokiem skazującym, odbyła się wcześniej); 1 z pośród oskarżonych uniewinniono, jednego skazano na 10 miesięcy więzienia, 3 na 6 miesięcy, 2 na 3 miesiące. Tegoż dnia zapadł w Warszawie wyrok, uniewinniający Gontarczyka z zarzutu należenia do nielegalnego O.N.R.

29 października zapadł w Warszawie wyrok, skazujący 5 członków b. O.N.R. za należenie do tajnego związku. Adwokat Rościszewski otrzymał półtora roku więzienia, 3 inni rok, 1 — 6 miesięcy. Tegoż dnia w Przemyślu sąd skazał mg. Urzyńskiego na grzywnę za użycie pieczęci rozwiązanego „Koła Młodych". Tegoż dnia na wokandzie sądu łódzkiego znalazła się sprawa kilku członków Sekcji Młodych Str. Nar. o zorganizowaniu zebrania w Dobromiu.

31 października ukazała się w prasie zapowiedź 140 spraw z odwołania b. członków O.N.R. od wyroków sądów starościńskich.

2 listopada odbył się proces 2 b. członków O.N.R. o zajście w kawiarni „Italja" w Warszawie.

POŚRÓD MŁODZIEŻY POLSKIEJ masowo rozpowszechniona jest i darmo rozdawana broszurka p. t. „Prawda o antysemityzmie".

Autorką jest wiedenka, niejaka Irena Harand, której prasa żydowska na całym świecie niesamowitą urządza reklamę. Broszurę na język polski przełożył z niemieckiego ktoś ukrywający się pod literami E. K. i wydał ją w Krakowie. Stronic 24. Tytuł ozdobiony rysunkiem swastyki po lewej stronie i wagi kupieckiej — po prawe. Druk, układ i sposób ujęcia literackiego w stylu reklamowo-propagandowym.

Szesnaście krótkich rozdziałów tytułami swojemi daje niezłe o całości pojęcie. Oto one: 1) Bajka o Talmudzie. 2) Mędrcy Syjonu. 3) Bajka o wielkim kapitale żydowskim i o bolszewizmie. 4) Wrzawa dokoła marksizmu. 5) Wolnomularstwo a żydzi. 6) Żydzi a kryzys gospodarczy. 7) Żydzi a lichwa. 8) Zawodowe uwarstwienie żydów. 9) Rzekome bogactwo żydów. 10) Rzekome tchórzostwo żydów. 11) Dowiedzcie się prawdy. 12) Zagadnienie rasizmu i szowinizmu. 13) Jak się nawróciłam. 14) Co żydzi zdziałali dla ludzkości. 15) Dlaczego żydzi się nie bronią. 16) Konkluzja.

W słowie wstępnem autorka woła: „Jako chrześcijanka i aryjka wstydzę się tego, co się dzieje!" — a to pod adresem samoobrony niemieckiej przed żydami. W treści wszystkie punkty sprawy żydowskiej uproszczone są do gołosłownych twierdzeń, osobistych oświadczeń i naiwnych fałszów. Wszystkie niewygodne dla żydów opinje o żydach są, poprostu, bajką, przez podłych ludzi wymyśloną. Nawet „solidarność żydów, o której tyle się bredzi, jest bajką". Żydzi są dobroczyńcami ludzkości, a nie bronią się, bo są poczciwemi, bezradnemi barankami. Dopiero pani Harand musiała nawrócić się i wziąć pod swoją obronę ten biedny naród niewiniątek... Woła tedy: „walczę przeciwko antysemityzmowi szczerze i uczciwie. Nie czekają mnie w tej walce żadne zyski, lecz przeciwnie, tylko nieprzyjemności, obelgi i prześladowania".

Jak widzimy, rzecz obliczona jest na umysły najprostrze, najnaiwniejsze. Dlatego przedewszystkiem rzuca się ją na młodzież szkolną.

Grunt pod stopami żydów w Europie zaczyna się chwiać i nieprzyjemnie rozgrzewać. Ale „żydzi nie są tchórzami", więc przedsięwzięli gwałtowną obronę swego tu stanu posiadania, a że najlepszą obroną jest napad, więc do szeregów swoich takie hasło rzucili: „Napadajcie, oskarżajcie, po sądach włóczcie, hałasy i marsowe miny czyńcie!" Na pierwszy zaś ogień wysyłają różne Harandy, a do każdego takiego szabesharcerza gromadnie wołają: „Nie bój się! My sami w strachu!"

„OCZERNIAJCIE! ZAWSZE COŚ Z TEGO zostanie!" — przysłowie to żydzi obecnie na całym swoim froncie stosują, ale, naogół, z pewną, bardzo trafną i zgrabną odmianą: zbyt drastycznie, a nieraz niebezpieczne dla oszczercy „oczerniajcie!" zastąpili przez „oskarżajcie!" Oskarżenie mówi pośrednio o skardze, krzywdzie, niewinności oskarżyciela, a w skutkach może być dla oskarżonego o wiele dokuczliwsze, a nawet zgubniejsze od wszelkiego oszczerstwa.

Zatem: „Oskarżajcie! Oskarżajcie! Oskarżajcie!" — taki rozkaz padł zgóry na rzesze niewinnych, szlachetnych, bogobojnych żydów w krajach rozproszenia. Jednym ze skutków tak wzmożonej taktyki jest groteskowy proces, odbywający się obecnie w Szwajcarji, którego przedmiotem są są słynne tak zwane „Protokuły Mędrców Syjonu". Żydzi oskarżają owe „Protokuły" o to, że są złośliwym i szkodliwym falsyfikatem, oczerniającym „naród wybrany". Groteskowość procesu polega między innemi na tem, że w nim żydzi jako strona stają zarazem, jako świadkowie.

Czytelnicy nasi znają ten proces przynajmniej z telegramów pracy codziennej. W chwili, gdy to piszemy, wyrok jeszcze nie zapadł. ale żydzi nawet ze złego dla siebie wyroku skorzystają. Czy ta korzyść doraźna opłaci się im na dalszą metę,

to inna sprawa. Tymczasem pośród czerni żydowskiej coraz bardziej wzbierają nastroje bardzo wojownicze, cały zaś przebieg historyczny zachowania się żydów na świecie od czasu wybuchu wojny światowej najwyraźniej świadczy o prawdziwej żydowskości „Protokułów". O czem, zapewne, jeszcze w obszerniejszej rozprawce na tych tu łamach pomówimy.

NAUKA i LITERATURA

ODCZYT PROF. CHRZANOWSKIEGO

Prof. Ignacy Chrzanowski na zaproszenie Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych przybył z Krakowa do Warszawy, aby tu wygłosić odczyt o Lelewelu. Aula Uniwersytetu Warszawskiego zgromadziła liczną i doborową publiczność, owacyjnie witającą znakomitego uczonego. Prof. Chrzanowski wykład swój poświęcił głównie osobistości historyka, mało znanej ogółowi, niemal legendarnej. W portrecie tym jednak znalazło się miejsce i na charakterystykę wszystkich dziedzin, które były terenem jego niezmiernie ruchliwej i płodnej działalności.

Prof. Chrzanowski mówił o pisarzu wogóle, o historyku, numizmatyku, wychowawcy młodzieży, patrjocie, o człowieku niepospolitego charakteru i temperetamentu, ale mówił też — i tu mniej pochlebnie — o polityku i działaczu. Portret Lelewela, aczkolwiek szkicowy z natury rzeczy, wypadł wyraziście, co zawdzięcza doskonałemu oświetleniu historycznemu. Wielki uczony, przystosowany jedynie do pracy naukowej, znalazł się ze swoją naiwnością w robocie politycznej, do której go użyły związki wolnomularskie, a do której nie miał żadnych kwalifikacyj. Jedyną jego siłą była prostolinijność w wyznawaniu pewnych zasad i doktryn, gdy w polityce potrzebne jest poczucie rzeczywistości i objektywne przestrzeganie interesu publicznego. Pamięci potomnych historja przekaże zasługi Lelewela, jako twórcy nowożytnych pojęć o narodzie, inspiratorze romantyzmu i znakomitym historyku. Odczyt prof. Chrzanowskiego zrobił głębokie wrażenie zarówno swoją treścią, jak i budową i sposobem wygłoszenia.

WIECZÓR AUTOREK

W zeszłą niedzielę Zrzeszenie Pisarzy Katolickich zorganizowało, w sali „Theologicum", „Wieczór autorek". Wieczór ten był właściwie podwieczorkiem, rozpoczął się bowiem o godzinie pół do szóstej, a skończył się o ósmej. Program jego został wypełniony przez pp. Kossak-Szczucką, Miłaszewską i Czeską-Mączyńską, które odczytały fragmenty swoich utworów prozaicznych.

Bardzo licznie zgromadzonej publiczności najbardziej do serca przypadła lektura p. Wandy Miłaszewskiej. Autorka „Cmentarza i sadu" odczytała ustęp z przygotowanej właśnie do druku nowej książki pt. „Dusza domu". Fragment ten był parę miesięcy temu drukowany w „Myśli Narodowej" pt. „Modlitwa o śmierć szczęśliwą". Należy on niewątpliwie do najlepszych utworów Wandy Miłaszewskiej. Wzruszył audytorjum głęboko. W wielu oczach widzieliśmy podczas lektury łzy.

Pani Kossak-Szczucka odczytała urywek ze swojej, drukującej się obecnie w „Tygodniku Ilustrowanym" powieści pt. „Krzyżowcy". Publiczność miała okazję zbudować się erudycją popularnej powieściopisarki, której powieść historyczna zapowiada się bardzo interesująco i, kto wie, czy nie zakasuje „Branek w jassyrze" samej Deotymy.

Stosunkowo najmniej entuzjazmu wzbudziła wśród audytorjum p. Czeska-Mączyńska. Odczytana przez nią „Wizja księdza Skargi", aczkolwiek bardzo szlachetna w tendencji, raziła niedostateczną znajomością opisywanej epoki. Prelegentka np. zdaje się nie wiedzieć, że w czasach ks. Skargi kościół Świętojański w Warszawie nie był jeszcze katedrą, lecz tylko farą.

Produkcje powieściopisarek zostały poprzedzone znakomicie skonstruowanem i wypowiedzianem przemówieniem p. Kazimierza Marjana Morawskiego, przewodniczącego Zrzeszenia Pisarzy Katolickich.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Koniecznym warunkiem ustalenia wytycznych narodowej polityki gospodarczej jest dokładna znajomość nie tylko własnego gospodarstwa narodowego, ale również całości gospodarstwa światowego. Dlatego bardzo pożytecznem zjawiskiem są monografje, analizujące i opisujące poszczególne problemy gospodarstwa światowego. Jedną z takich monografij jest książka Stanisława Gryziewicza „Międzynarodowy obrót masłem" (import—eksport—standaryzacja). Warszawa, 1933, str. 108. (J. P.)

*

Nakładem Tow. Wyd. Młodych Prawników i Ekonomistów ukazała się praca Tadeusza Bernadzikiewicza pt. „Nowe prawo o bilansach". Praca ta stanowi bodajże pierwszą próbę samodzielnego omówienia polskiego prawa o bilansach. Ma ona celu wyjaśnienie i ocenę wydanych niedawno w Polsce przepisów o sporządzaniu zamknięć rachunkowych i sprawozdań osób prawnych, obowiązanych do prowadzenia ksiąg handlowych. „Aktualność zagadnienia" — pisze autor w przedmowie — „usprawiedliwić winna ukazanie się rozprawy o polskiem prawie bilansowem przed ostatecznem wykończeniem systemu tego prawa. Z drugiej strony należy pamiętać, iż omawiane przepisy nie przeszły jeszcze próby życia. Powoduje to siłą rzeczy prowizoryczny nieco charakter wywodów autora". Mimo to inteligentnie napisana praca p. Bernadzikiewicza zasługuje na baczną uwagę i zapewne zainteresuje wszystkich tych, którzy rozumieją znaczenie nowego prawa o bilansach.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA ILUMINOWANYCH RĘKOPISÓW

NASZA Bibljoteka Narodowa, która poza swą zwykłą działalnością, dała się poznać szeregiem dobrze pomyślanych wystaw, wystąpiła teraz z nowym pokazem rękopisów iluminowanych, znajdujących się w jej młodych, ale już pokaźnych i cennych zbiorach. Rękopisy zostały umieszczone w salach pałacu, przy ul. Krakowskie-Przedmieście 32 i składają się z zabytków, częściowo polskich, lub dla Polski sporządzanych, a pozatem obcych: francuskich, włoskich i niemieckich, z okresu od XIII-go do początków XVI-go stuleci. Jeśli chodzi o najwspanialsze przykłady dawnego liternictwa, to trzeba nadmienić, iż powstały one właśnie przed tym okresem. XIII-ty wiek jest czasem raczej schyłku kultury literniczej, która z końcem XV-go stulecia już nic ciekawszego nie daje, natomiast zdobnictwo książki rękopiśmiennej przeżywa w tym właśnie czasie epokę swego najwspanialszego rozkwitu.

Chociaż dzieje tych obu umiejętności tok mają nierównoległy, zwykle stykają się ze sobą, nietylko powierzchownie, lecz i w znaczeniu głębszem, wiążąc się w jedną całość, poddaną pewnej, wspólnej logice artystycznej. Miniatura nie odrazu stała się efektem samodzielnym, rozwinętym w pełny kształt obrazka, istniejącego równolegle, obok tekstu. Wyrosła z bardziej rozbudowanego ornamentu, który, oprócz dekoracji abstrakcyjnej lub roślinnej, począł stosować również motyw postaci ludzkiej. Gdy wyobrażała ona Chrystusa, Matkę Bożą, lub którego ze świętych, albo gdy iluminator chciał namalować którąś ze scen Pisma Świętego, umieszczał taki temat w oddzielnym prostokącie, bardzo często także wewnątrz dużej, ozdobnej litery, inicjału. (Zdobnictwo inicjałów dało początek późniejszej bogatej iluminacji rękopisów). Natomiast, gdy postać ludzka przechodzi w obręb ornamentu, zdobiącego kolumnę pisma, sens jej i rola zupełnie się zmieniają. Nie są to już osoby, otoczone nimbem świętości, lecz postacie zgoła świeckie. Miniaturzysta używa ich nietylko jako motywu, razem z ornamentem, rameczką otaczającego tekst, lecz nie waha się również przed

wpisaniem w taką treść plastyczną pewnej fabuły. Ornament figuralny przeradza się w prawdziwe scenki. Ich treść nie ma już nic wspólnego z tekstem pisma, ich nastrój często nie licuje z powagą słów świętych. Jest to jedyny w swoim rodzaju ornament, który nietylko ukazuje (ozdabia), ale i opowiada. Opowiada na marginesie tekstu głównego, w znaczeniu dosłownem i przenośnem. To jest szczegół niezmiernie ważny. Dzięki takiemu pojmowaniu swej roli przez miniaturzystę, scenki, okalające tekst, stają się niezwykle ciekawym materjałem dla poznania ówczesnego życia i obyczajów. Miniatury ukazują nam ówczesne gry, zabawy, polowania, pracę i różnorodne zajęcia, życie dworskie, uroczystości i t. d. Hojną dłonią czerpie stąd kostjumologja. Tu właśnie stykamy się z malarstwem, które dziś nazwalibyśmy rodzajowem, tu, w zabytkach z czasów, które nie znały innego tematu poza religijnym. Tematy tych scenek nie prędko przeszły do malarstwa stalugowego, a i samo to malarstwo miało swą poprzedniczkę w miniaturze.

Tradycja iluminowania ksiąg przeszła z Egiptu i Grecji do mnichów greckich, wykonywających w początkach średniowiecza, w całej Europie, prace z zakresu rzemiosł artystycznych. Jeden z najstarszych zachowanych manuskryptów, opisujących technikę malarstwa miniaturowego pochodzi z IX-go wieku. Malarstwo miniaturowe znane było w Polsce w XI-tem stuleciu. Z początku pozostawało pod silnym wpływem czeskim, a miniatura Europy wogóle — pod wpływem sztuki bizantyjskiej (XII—XIII w.). Później, tuż przed wynalezieniem druku, w czasie największego rozkwitu miniatury, przodowała w niej Francja. Iluminatorzy świeccy, cechowi, pracują u nas w XIV-tym wieku na Śląsku i w Prusach Zachodnich. W roku 1353-cim Mikołaj Pruzia, z miasta Lubienia, zdobi „Żywot św. Jadwigi".

W epoce Odrodzenia zaznaczają się wpływy włoskie i flamandzkie. Miniatura wyzwala się coraz bardziej z pod wpływów Kościoła. W rękopisach, obok scen religijnych, pojawiają się sceny z życia. Z tego właśnie okresu pochodzi Kodeks Baltazara Behema, którego miniatury wyobrażają zajęcia cechów. Do bardziej znanych naszych zabytków rękopiśmiennych, iluminowanych, należą pozatem: Graduał Łęczycki (1467 r.). Psałterze: Florjański i Puławski, Graduał Jana Olbrachta, Mszał i Pontyfikał Erazma Ciołka, modlitewniki: Zygmunta Starego, Bony, Szydłowieckiego i t. d.

Z wybitniejszych dzieł, na wystawie Bibljoteki Narodowej, widzimy dwa graduały, wykonane dla O. O. Augustjanów w Krakowie, Mszał biskupa Ciołka, Psałterz Florjański (chluba Bibljoteki!), Biblję *a Genesi.* Z bardziej interesujących, oprócz iluminacyj i pod względem literniczym, należy wymienić przedewszystkiem rękopisy włoskie: Kodeks Trivulzianus (Florencja 1337 r.), o piśmie zbliżonem do późniejszej kursywy drukarskiej, rękopis łaciński z Toskanji (połowa XV wieku) i wreszcie żywe i ostre pismo francuskie, już z początku XVI-go stulecia (Św. Bonawentura).

Wystawę oryginalnych rękopisów iluminowanych uzupełnia zbiór *facsimil*'ów (wł. prywatna), obrazujący rozwój sztuki iluminacji, od czasów najdawniejszych, aż do jej schyłku, z uwzględnieniem minjatur perskich, a także podobizn rękopisów hebrajskich.

Pokaz tych, nieraz znakomitych i niesłychanie interesujących pod względem malarskim, przykładów iluminacyj, w oryginałach i podobiznach, jest niewątpliwie ciekawszy od wielu wystaw malarstwa współczesnego, demonstrujących ciągle ten sam nudny materjał.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„ROZBITKI" W TEATRZE NARODOWYM

Nareszcie doczekaliśmy się bardzo dobrego przedstawienia w Teatrze Narodowym. Wystawiono tam sławną czteroaktową komedję Józefa Blizińskiego pod tytułem „Rozbitki",

Sztuki tej nie znałem.

Nie znałem wogóle dotychczas żadnego utworu Blizińskiego.

Wiedziałem, oczywiście, od dziecka, że komedje jego w swoim czasie cieszyły się olbrzymią popularnością, że najwięksi aktorzy znajdowali w nich wspaniałe pole do popisu, że Bliziński w hierarchji komedjopisarzy polskich szedł zaraz po Fredrze, że był to pisarz ujmujący swojskością, humorem jowialnym, a przytem bardzo ostry satyryk, nie szczędzący słów prawdy swojej ziemiańskiej sferze i swemu narodowi — ale sądy te przyjmowałem na wiarę, nie kwapiąc się nigdy do ich sprawdzenia. Co prawda, to i okazyj do przekonania się o ich słuszności miałem niewiele, teatry bowiem warszawskie po Blizińskiego sięgały za mojej pamięci bardzo rzadko.

W miarę im bardziej dorastałem i starzałem się, coraz mniejszą miałem ochotę zawierać z utworami Blizińskiego znajomość. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wydawało mi się, że utwory jego musiały już oddawna zwietrzeć, spłowieć, zestaroświecczeć. Wyobrażałem sobie, że muszą być już nudne i niesceniczne. Gdyby były naprawdę tak dobre — jak zapewnia Chmielowski — to przecieżby je chyba częściej na scenę wyciągano. Przypuszczałem, że Bliziński jest jeszcze nudniejszy od Bałuckiego, że teatr dzisiejszy, gdyby go zechciał wystawić, musiałby się uciec do tego rodzaju odmładzających *trick*'ów reżysersko-dekoracyjnych jakie niedawno zaaplikowano z bynajmniej nie świetnym skutkiem — „Klubowi Kawalerów". Idąc na wznowienie „Rozbitków" w Teatrze Narodowym", byłem przekonany, że się wynudzę śmiertelnie, a nawet powątpiewałem, czy zdołam wysiedzieć w teatrze do samego końca czteroaktowego widowiska.

Spotkała mnie niespodzianka.

Sztuka nie tylko mnie nie znudziła, ale wprost przeciwnie: wzbudziła we mnie zachwyt najżywszy dla mistrzowstwa, z jakiem Bliziński umiał podpatrywać i odmalowywać charaktery swoich bliźnich.

Inna rzecz, że na owej komedji, na której podobno niegdyś, za dawnych dobrych czasów, pokładano się ze śmiechu, nie ubawiłem się wcale. Wywarła ona na mnie duże wrażenie, wrażenie to jednak nie było ani odrobinę rozweselające. Komedja ta, pomimo mnóstwa dowcipów lokucyjnych i sytuacyjnych, jakiemi ją autor naszpikował, pomimo jowialności, z jaką odmalował figurę Dzieńdzierzyńskiego, wydała mi się nietyle komedją obyczajową, ile raczej posępnym dramatem społecznym.

Jest ona komedją akurat o tyle, o ile jest nią „Moralność Pani Dulskiej" Gabrjeli Zapolskiej, albo „Aszantka" Włodzimierza Perzyńskiego.

W „Rozbitkach" Bliziński przedstawia rozkład moralny rodziny szlacheckiej. Trudno sobie wyobrazić coś mniej zabawnego, niż figura hrabiego Kotwicza Dahlberga Czarnoskalskiego, pieczeniarza, który faktoruje zamożniejszym od siebie kuzynom, wiesza się przy dorobkiewiczach, naciąga

ich na fundy i pieniądze, nie posiada za grosz godności osobistej i w końcu żeni się ze starą, antypatyczną babą, która wyprocesowała grubszą gotówkę niezbyt wyraźnego pochodzenia.

Bynajmniej również nie jest zabawny kuzyn tego protoplasty barona z „Aszantki" — szambelanic Czarnoskalski, dziedzic dużych podobno, ale potężnie odłuższych włości, który, pragnąc wyratować się z katastrofalnej sytuacji finansowej, sprzedaje swoją córkę zbogaconemu chamowi, a właściwie schamiałemu wskutek translokacji z miasta na wieś— łykowi Straszowi, dawnemu dependentowi adwokackiemu, który odziedziczył nagle majątek i popisuje się potęgą swoich pieniędzy, nie szczędząc zależnym od siebie ludziom upokorzeń.

Jowialne koncepty *ex*-kupca Dzieńdzierzyńskiego nie bardzo nas również bawią i nie zyskują mu sympatji w naszych oczach, gdyż pomimo swoich zalet, dzięki którym uczciwą drogą potrafił zdobyć znaczny majątek, ów polski odpowiednik Tartarin'a z Taraskonu zniechęca nas do siebie straszliwym snobizmem. Snobizm ów kazał mu porzucić sklep w Warszawie, przenieść się na wieś i wkręcić przemocą w środowisko zgangrenowanych moralnie pseudoarystokratów. Nie możemy mu darować, że proteguje i podpiera owych pasożytów społecznych. Największą jego ambicją jest wydanie córki za mąż za potomka Czarnoskalskich, bubka, który— może wbrew intencjom antora — sprawia na scenie dzisiejszej wrażenie skończonego niedołęgi i chociaż zapewnia nas, że zamierza uczciwie pracować na chleb — jakoś nie budzi w nas zaufania, iż obietnice swoje spełni. Patrząc na niego, skłonni jesteśmy przypuszczać, że raczej przeputa posag żony.

Przedstawiciele ludu w sztuce Blizińskiego nie mniej czarno zostali odmalowani; niż reprezentanci sfer wyższych.

Chłopska dziewczyna, wzięta na służbę do dworu szambelanicostwa Czarnoskalskich, odbywa w tym dworze przysposobienie do zawodu prostytutki. Narzeczony tej dziewczyny — gajowy Strasza — jest alfonsem.

Jak tu się śmiać, patrząc na tak posępny obraz dworu polskiego.

Być może iż za czasów, kiedy Bliziński pisał swoją komedję, szambelanicowie Czarnoskalscy i hrabiowie Dahlbergowie byli rzadkiemi w społeczeństwie polskiem wyjątkami. Musiało nawet tak być niewątpliwie, bo przecież gdyby większość szlachty była wóczas do bohaterów Blizińskiego podobna, toby do dnia dzisiejszego nie ostał się w naszym kraju ani jeden dwór szlachecki. Ale dzisiaj na Czarnoskalskich patrzymy, niestety, nie jak na fenomeny charakterystyczne, ale jak na wcale częste typy. I właśnie dlatego śmiać się z „Rozbitków" nie możemy. Śmiać się z nich mogą jedynie żydy i mechesy.

Aktorzy, grający „Rozbitków", wydobyli z siebie *maximum* wysiłku artystycznego i wysiłek ten został uwieńczony rezultatami wspaniałemi.

Kreacja Junoszy Stępowskiego jako barona Dahlberga przejdzie prawdopodobnie do historji Teatru Narodowego. Będzie się ją po dziesiątkach lat tak wspominało, jak ludzie, którzy w roli tej widzieli Kazimierza Kamińskiego, wspominają jego kreację. Znakomitą partnerką, kapitalnie mu sekundującą, znalazł Stempowski w pani Buczyńskiej. Frietsche, jako szambelanic Czarnoskalski, był rasowym „jaśnie panem" od pięt do czuba, w każdym geście i w każdej intonacji głosu. Zelwerowiczowski Dzieńdzierzyński był w swoim rodzaju doskonały, aczkolwiek artysta rolę swoją, zgodnie zresztą, zdaje się, z tradycją, mocno przeszarżował. Mam wrażenie, że kreacja nicby na swojej wysokiej wartości nie straciła, gdyby pseudofrancuszczyznę i „sonntagsaegeryzm" Dzieńdzierzyńskiego potraktować nieco dyskretniej — nie jak aktualną satyrę, lecz poprostu jak zabytek. Przesadnie jaskrawym (choć również zapewne zgodnym z tradycją dawnych Rozmaitości) Straszem był Jerzy Leszczyński. Jak na mój smak grał on cokolwiek zanadto demagogicznie, za często apelując do galerji. Być może, iż za czasów Blizińskiego było to niezbędne, dzisiaj jednak czasy się zmieniły. Bardzo stylową dziedziczką, chorującą dyplomatycznie na migrenę i spazmy, była pani Jarnińska-Rotterowa. Specjalne komplementy należą się panu Dominiakowi za rolę gajowego. Bardzo dobrze również wywiązała się ze swoich ról młodzież ziemiańska: pp. Roland, Pawłowski, Lindorfówna i Świerczewska. Kostjumy damskie trochę raziły brakiem gorsetów. Nie jestem kostjumologiem, ale zdaje mi mi się, że za za czasów Blizińskiego gorset był nieodzownym elementem damskiego kostjumu. Dekoracje p. Jarockiego bardzo dobrze utrzymane w stylu epoki.

ZASTĘPCA

MUZYKA

STARANIEM KIEROWNICTWA OPERY wystawiono na scenie Teatru Wielkiego w dniu Wszystkich Świętych i Zadusznym mszę żałobną (*Messa da Requiem*) Verdiego, napisaną przez artystę w roku 1874, po śmierci przyjaciela swego, poety Manzoniego. Objektywizm nakazuje przyznać, że dzieło jest naprawdę wielkie, świetnie skonstruowane i napisane po mistrzowsku, że widać w niem wysiłek oderwania się od zmysłowej muzyki operowej i przeniesienia się wyłącznie w sferę ducha.

Czy jednak ten wysiłek udał się artyście w zupełności? Nie, i... w tem tkwi wiele z wartości, które się składają na wielkość utworu; w tem nieudaniu bowiem przebija się owa szczerość człowieka, śpiewającego przez całe życie na inną nutę, szczerość, która w kontakcie z Bogiem obowiązuje ponad wszelkie konwenanse stylu kościelnego.

Verdi jest postacią niepospolitą. Na tle czasów, w których żył i tworzył, wydaje się nam nietylko wybitnym twórcą narodowym, ale i bohaterem. W konwencjonalnej zdawałoby się czasami formie tkwią przecież pierwiastki najczystszego romantyzmu heroicznego. My to wszyscy rozumiemy, a jednak staje się on dla nas dzisiaj coraz bardziej obcy, tak, iż nie jesteśmy już w stanie wyczuć tego smaku, który się wówczas podobał, który nawet porywał.

Przeglądając bibljografję dzieł wielkiego artysty zatrzymuję się zwykle nad dwoma dziełami: „Aidą" i „Nieszporami sycylijskiemi", a to zważywszy na okazję, z powodu których zostały one napisane. Szczegół to może nic nie znaczący i dlatego przez nikogo, z wyjątkiem historyków sztuki, nie wysuwany. Data jednak powszechnej wystawy paryskiej w r. 1855 i otwarcia Kanału Sueskiego tłumaczy nam wiele, przenosząc w czasy, które są nam najbardziej dzisiaj obce ze wszystkich.

Słowa moje nie mają wcale zamiaru prostacko odbronzowywać postaci naprawdę dużej miary — tłumaczę jedynie, dlaczego owoczesny okres twórczości muzycznej przestaje się nam poprostu coraz bardziej podobać, dlaczego mamy dla niego jedynie podziw i objektywne, uczciwe spojrzenie.

Tymczasem równocześnie cały dorobek do wieku XVIII-go włącznie, przysypany dzisiaj archiwalnym pyłem, staje się nam coraz bardziej blizki. Motet o męczennikach Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, zmarłego akurat przed dwustu laty, który miałem okazję słyszeć podczas poniedziałkowej audycji Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, mimo nienajlepszego wyjątkowo wykonania, sprawił na mnie większe wrażenie, aniżeli lisztowskie transkrypcje Schuberta, grane w sobotę przez Orłowa. Zaznaczam, że wrażenie moje nie było odosobnione.

Niewątpliwie jest w tem coś ze zjawiska, zjawiska tak ciekawego i nie bez przyczyny, że należy do niego powrócić i omówić je szerzej.

Może nam ono wówczas powiedzieć bardzo wiele.

W. NARUSZ

OFENSYWA

KARJERA KAGANOWICZÓW

NA PROCES w Bernie szwajcarskim w sprawie słynnych „Protokułów Mędrców Syjonu" udało się reżyserom pansemickim sprowadzić także i starego, zgrzybiałego, zawsze fanatycznego i „principialnego" żydoliza, zajadłego wroga katolickich Polaków, Pawła Milukowa. Ex-minister, mason, Milukow w zeznaniach swoich rozpowiadał coś tam o stosunku dawnych carskich rządów do żydów, a o obecnym rządzie sowieckim zaryzykował powiedzonko, że „posiada też znikomy procent żydów". Dosłownie: „znikomy"...

Paweł Milukow, jak widać z tego, nie ma o tem żadnego pojęcia, albo też świadomie, tendencyjnie mija się z prawdą, jak tyle razy się mijał.

Weźmy ot choćby taką familję: Kaganowicz.

Tym się udało i powiodło w życiu.

Ktoby to ze starych ludzi w Homlu mógł przypuszczać, tak jeszcze lat temu trzydzieści!

Była w tem miasteczku rezydencja książąt Paskiewiczów, Paszkiewiczów, herbu Radwan. W parku, przed pałacem starej księżnej, thorwaldsenowski pomnik. W miasteczku papiernia na wielką skalę z całą omal administracją polską. Księżna lubiła Polaków i ostentacyjnie ich wyróżniała. W administracji dóbr także Polacy. Niejeden pewnie dawał buty do podzelowania staremu Kaganowiczowi. Najlepszy szewc, jeżeli nie w całem miasteczku, to przynajmniej na tej uliczce, gdzie mieszkał.

Dzieci Jehowa, jak zwyczajnie starozakonnym, nie poskąpił. Wśród *bachorim* najmłodsza Rut. Wśród braci najstarszy Leizorek (Łazarz), potem Mojżeszek, Szymon, Berek i... Jerzy. Ktoby tam mógł przypuszczać z panów Polaków, jak tam się potoczą koleje i losy pięciu Kaganowiczów i ich siostrzyczki...

Najambitniejszym musiał być Leizorek i najzuchwalszym. Stary Mojsiej dużo miał chyba kłopotu z tym pierworodnym. Od dziecka wszystko, co drukowane, chwytał i czytał nocami i dniami. Zdrów był jak ćwik i szybko wyrósł na mocnego, dorodnego młodzieńca. Nie miał nic z bladości i wątłości tych, co studjują talmud. On czytywał od maleńkości Marxa, Czernyszewskiego, Martowa i broszurki. I nie do handlu poszedł, a na robociarza i daleko powędrował, bo aż do Zagłębia Donieckiego. I tu odrazu jako agitator płomienny i mówca doskonały. Już kiedy miał lat 17 poszedł po raz pierwszy do tiurmy. Nie w kawiarniach i nie w Szwajcarjach, a w kopalniach i w więzieniach dojrzewał. Stalin był wtedy ślusarzem, Woroszyłow ślusarzem, Bluecher ślusarzem, a Leizor Kaganowicz w kopalniach węgla w najcięższej pracy, zaczem surowy, poważny „proceder", a od początku, od 1911 roku odrazu bolszewik.

Podczas rewolucji październikowej, Kaganowicz jest w Turkiestanie, należy do trybunału rewolucyjnego i jako twardy proletarjusz podpisuje moc wyroków śmierci, i tu, i potem na Kaukazie.

Za przykładem Leizora poszli też bracia. Wszyscy byli Marxistami maksymalistami i wszyscy czterej pracują rewolucyjnie w różnych środowiskach i miastach, dwu działa w Niżnym Nowogrodzie. Leizor, już jako Łazarz, już w r. 1923 stale w Moskwie i już w Komitecie Centralnym. Lata 1927 i 1928 na Ukrainie, poczem z powrotem w Moskwie i od r. 1930 w Politbiurze. Sądząc z opinji różnych korespondentów i „rzeczoznawców", człowiek całkiem serjo, pozytywny, twórczy, żaden wiecowy i pyskacz, przykładem swoim działa też dodatnio i na braci. Że wyszli z Homelskiego ghetta, więc się oddali temu, w czem żydzi specami: handel, przemysł, syndykaty, organizacja trustów, hurtowni, składów, magazynów państwowych, Torgsin. I w tej dziedzinie osiągają wedle zgodnej opinji duże rezultaty. Szymon pracuje w bawełnie i w bławatnej branży, Berek w warzywnictwie, trykotażach i kolejnictwie, Jerzy przerzucił się do fabrykacji samolotowej i jest w zarządzie Ossoawiachimu, Mojżesza specjalnością składy i sklepy uniwersalne, Szymona obok hodowli lnu interesuje też i oświata „fachowa", Berek objął nietylko szefostwo milicji kolejowej, ale także prowadzenie wojskowych warsztatów odzieżowych. I cała piątka pracuje zajadle i zapamiętale, Łazarz Mojsiejewicz atoli rekordowo. Na to godzą się wszyscy. Ale bo też ma tych obowiązków i dostojeństw, że niemi kilku tytanów obdarzyć by można. Jest prezesem ośmiu państwowych komisyj, w zarządzie Torgsinu wice-szefem, prezesem moskiewskiego Komitetu Partyjnego, prezesem Komitetu Kontroli partyjnej i pierwszym zastępcą generalnego sekretarza W. K. P. czyli prawą ręką Jossipa Wissarjonowicza, zwanego wśród swoich „Sosą".

Z dyktatorem 160 miljonów urzędują razem, ściana w ścianę na szóstym piętrze sekretarjatu *„Politbiura"*. Na parterze kancelarje dostępne dla wszystkich, oczywiście tylko członków K. P. Na trzeciem piętrze *„Orgraspred"*, na czwartem *„Kult-Prop"*, a na szóstem, na prawo Stalin, na lewo Kaganowicz.

Czasami windą jedzie się na szóste piętro piękna panna, przed którą wszystkie aparatczyki, dygnitarze, komisarze, komżandarmy ustępują skromnie, *zdrastwujtie!* Rut Mojsiewicz! Jest sobie skromną urzędniczką, a to w „Czerwonym Krzyżu" (skończyła medycynę), a to w zarządzie *„Trustu" Kustarnich Zawodow"*, czyli ludowego przemysłu artystycznego. Ale i w tych dziedzinach potrafiła się jednak tak odznaczyć, że ma każdej chwili dostęp na szóste piętro, gdzie po lewej stronie rezyduje Łazarz, a po prawej Soso... Soso ma pianolę, na której lubi wygrywać głównie... Chopina. A nadto ma Stalin takie archiwum, o którem paryski emigrancki *„Socjalisticzeskij Wiestkik"* pisało, co następuje:

„Osobisty sekretarjat Stalina zatrudnia bardzo dużo osób. Najwięcej uwagi poświęca się słynnemu „archiwum Stalina". W niem zawarte są wszelkie dane, dotyczące przeszłości wszystkich bez wyjątku działaczy bolszewickich. Grzechy lub słabostki tego lub innego działacza są wydobywane na światło dzienne wówczas, gdy próbuje on występować przeciw generalnej linji. Materjały zawarte w archiwum przedostają się wówczas albo do prasy, albo do użytku mówców na *meeting*'ach".

Zdaje się, że do kolekcjonowania tego czarnego archiwum dużo pomagała nieboszczka Allilujewa. Tajemniczem samobójstwem pożegnana z życiem żona dyktatora, miała w wysokim stopniu rozwinięty dar śledczy, wywiadowczy.

I jej to, Allilujewie w godzinie spoczynku wygrywał bez wytchnienia, na swej pianoli, przebierając nogami, ukochanego... Chopina.

Teraz taksamo wygrywa, pykając z fajki, cierpliwej Rut Kaganowicz, łączącej w sobie uroki Dalili i Judyty, Esterki i Bereniki...

Nie można atoli powiedzieć, aby tylko swojej siostrzyczce zawdzięczali wyniesienie rodzinne i błyszczące karjery, bracia Kaganowicze z Homla. Nie. Byliby się i tak wybili na sam front, jak się za cara Mikołaja II wybili w gospodarczem życiu Rosji czterej bracia Rubinsteinowie.

Bardzo świadomi i wtajemniczeni w zakulisowe życie sowieckie twierdzą, że dzisiejszym Związkiem Republik Radzieckich rządzi właściwie familja Kaganowicz.

A przecież to nie tylko on jedni, „Semici bierni".

Po kolei moglibyśmy tu prześwietlić cały szereg nowych takich familij, na miejsce dawnych carskich baronów kurlandzkich, estońskich, nadbałtyckich.

Neo-Waregowie.

Myli się tedy stary, zgrzybiały, kadecki żydoliz nieuleczalny, który cicho siedzi na swej banicji paryskiej i występuje na widownię tylko wtedy, kiedy mu Sanhedryn (Kehilla) każe kruszyć dalej kopje w obronie hegemonji pansemickiej.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Norwid o... „sanacji":

„— Ogromne wojska, bitne generały,
Policje tajne, widne i dwupłciowe
Przeciwko komuż tak się pojednały? —
Przeciwko kilku myślom, c o n i e n o w e!.."

•

Syjonistyczny „Nasz Przegląd" (z dnia 21 Cheszwon 5695 roku), w artykule na temat „zdolności honorowej" żydów, pisze:

„Mieliśmy w Polsce Zawiszów i książąt Józefów, Żółkiewskich i Czarnieckich..."

Dosłownie: „m i e l i ś m y..." P. Hirszhorn miał, i p. Szwalbe miał, i p. Appenszlak miał, i p. Kahane...

A potem dziwią się groteskowe żydki, że ich traktuje się, jak na to zasługują...

•

Kaden-Bandrowski, jak donoszą dzienniki, robi studja w celu wygotowania sprawozdania z działalności Akademji Literatury za r. 1933/34. Mozolna praca postępuje naprzód i jest nadzieja, że jeszcze w tym miesiącu będzie ukończona.

I powiadają, że stanowisko generalnego sekretarza Akademji Literatury jest synekurą!

•

Doroczne zebranie publiczne Akademji Literatury połączone być ma z uroczystym aktem zawieszenia w sali zebrań portretu protektora, b. ministra Jędrzejewicza, twórcy reformy szkół akademickich. Zapewne mowy pochwalne wygłoszą profesorowie Zieliński i Kleiner.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM